Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 18 września 1938 r. Nr. 38

Meksykańska serenada...



BOGDAN LESTYCKI

TAJEMNICA INŻ. SOMMERSONNE'A

Na scenie stał Straszliwy Trup!

Sztywne jego ręce wyciągały się do tłumu ruchem niesłychanego szyderstwa, a usta, oliwkowe usta, rozwarte były szeroko, ukazując drgające, niesamowicie błyszczące podniebienie .

I naraz pogasły wszystkie światła.

XXXII.

DWA MILIONY

W ciemności, pełnej zgiełku i okrzyków przerażenia. zabrzmiał znowu spokojny głos Sławicza:

— Proszę nie obawiać się niczego. Jak powiedziałem, dziś skończy się wszystko. Na terenie teatru skończyło się już teraz.

Słowa detektywa podziałały jak oliwa na wzburzone fale morza. Tłum uspokoił się.

Gdy po chwili zabłysły znów światła, oczy widzów daremnie szukały Sławicza, przebranego za strażaka. Daremnie także szukały znanych sobie postaci funkcjonariuszy policji śledczej. Ludzie ci przepadli jak kamień w wodzie.

Czerwicki, porwany wśród mroków za rękę, pozwolił się prowadzić. W ogrodzie przy teatrze poznał Sławicza, który wskazywał mu dłonią niesamowicie długi cień, przemykający wśród drzew, a ścigany przez wywiadowców.

Kilka strzałów rewolwerowych przecięło ciszę.

Detektyw roześmiał się.

— Szkoda naboi, ona i tak ucieknie. Widzi pan?

Cień odrzynał się teraz wyraźnie od jaśniejszego tła nieba. Przez chwilę zawisł na szczycie płotu, po czym zniknął.

Znów posypały się strzały.

— Jedziemy! — rzekł detektyw.

— Gdzie?...

— Do browaru.

— Pan nie był tam jeszcze?

— Po co? Poznałem motywy i zrozumiałem powoli wszystko. Kryjówka to drobiazg.

— Gdyby pan jednak był — rzekł Jan. sadowiąc się w taksówce obok Sławicza — być może, że...

— Że Rosenberg i Kunz żyliby dotychczas, nieprawdaż?

— Tak myślę.

— Nie liczyłem się z tym, bo i dla Sommersonna było to niespodzianką.

— Ale on znał przecież zbrodniczą naturę Stackpoyle'a, który spowodował śmierć Marczyka i...

— ...Staszowskiego. Tak, była to jednak osobista zemsta Anglika na mordercach kobiety, którą kochał. Brat i mąż otruli ją, pod wpływem bowiem Sommersonna chciał zawrócić ich ze złej drogi, grożąc doniesieniem policji o ich sprawkach. Byli to, panie Czerwicki, pomocnicy Jabłowicza. Stackpoyle wykradł zwłoki i chciał pogrzebać je na swoją rękę, ale Sommersonne, któremu przyszedł do głowy pewien plan, wytłumaczył mu, że lepiej będzie, gdy Paulina Staszowska nie zejdzie tak szybko z oczu morderców...



Słynna polska sportswoman — Stanisława Walasiewiczówna w czasie porannej zaprawy.

Czerwicki szeroko otwartymi oczami patrzył w twarz detektywa.

— Był to zasadniczy błąd Sommersonna — ciągnął dalej Sławicz — rozpętał bowiem żądzę zemsty w Stackpoyle'u. Przyszedł czas, że mało mu było śmiertelnego strachu morderców, w jaki wprawiło ich pojawienie się żywego trupa zamordowanej przez nich żony i siostry. Zapragnął śmierci morderców i z uporem maniaka zrealizował to swoje pragnienie, gdy tylko poznał cudowny mechanizm... — długa pauza, podczas której detektyw patrzył z uśmiechem w pełne oczekiwania oczy młodzieńca — ...telewizora, wynalezionego przez swego genialnego pana...

— Telewizora?!

— Tak. Wiedziałem, że nikt nie domyśli się tego, chociaż było to jedyne rozwiązanie zagadki Straszliwego Trupa. W jakiż sposób można by kierować robotem, gdyby się go nie widziało?

— A więc Straszliwy Trup jest robotem?!

— Tak, panie Czerwicki, jeszcze jest robotem, ale wkrótce będzie już tylko trupem, najzwyklejszym trupem...

— ?!

— Ciało Pauliny Staszowskiej zostało zabalsamowane, a wewnątrz, zamiast wnętrzności, płuc i mózgu znajdowała się maszyneria. Sztywne ręce, sztywne nogi, szklane oczy i membrana w rodzaju gramofonowej. Robot śmiał się tylko na różne tony, a wymawiał mało co więcej ponad jedno, jedyne słowo: „klucz", bo inne nie były potrzebne do celów Sommersonna. Prąd elektryczny, promienie, działające na odległość były duchem, ożywiającym te zwłoki.

— I Sommersonne, genialny Sommersonne, zginął marnie...

— A jego wynalazki na zawsze przepadną dla ludzkości.

— A może nie przepadną, może znajdziemy coś, jakieś plany, jakieś modele...

— Nie, panie Czerwicki, nie znajdziemy nic z tego. Stackpoyle zniszczył wszystko. Taki człowiek nie potrafiłby po prostu uczynić inaczej.

— Więc pocóż mamy przeszukiwać tę kryjówkę? Czy...

Urwał nagle. Nie, nie chciał teraz ani myśleć, ani mówić o tym.

— Pragnę poszukać pewnej walizki, panie Czerwicki... — rzekł spokojnie, udając, że nic nie spostrzega. — Halo, stój pan! — zawołał do szofera — Dalej pójdziemy piechotą.

Wysiedli w tym samym miejscu, gdzie znalazł śmierć inżynier Sommersonne, jadąc na ratunek wrogów, których mógł ocalić od śmierci tylko przy pomocy jednego jedynego guzika na porcelanowej tablicy rozdzielczej, przy której siedział jego służący, na wpół obłąkany żądzą mordu...



W strojach narodowych idą na strzelnicę uczniowie gimnazjum szkockiego, by wziąć udział w zawodach strzeleckich.



Trzy dziewczęta i mokry towarzysz zabawy.

— Nie tylko zemsta kierowała inżynierem... — poważnie mówił detektyw — Musiał on mieć środki na kontynuowanie swych badań naukowych, a środki te miała banda szubrawców, która korzystała z owoców wieloletniej pracy jego bogatego umysłu... Tu! — szepnął, stając pod zmurszałym murem, w którym widoczne były dwa niewielkie otwory, wydrążone wśród kamienia wapiennego.

Sławicz stanął jedną nogą na brzegu dolnego otworu, po czym, chwytając się nierówności muru, zagłębił drugą nogę w wyższym otworze. W minutę później znajdował się już po drugiej stronie, tuż przy wejściu do płuczkarni beczek.

Wdrapawszy się na niewielki pagórek, usypany u stóp przeciwległego budynku, stanęli niebawem na daszku, łączącym ów budynek z płuczkarnią.

Okno nad daszkiem było otwarte. Zeskoczywszy z parapetu w głąb obszernej, zupełnie zrujnowanej sali, pełnej rumowiska, zatrzymali się, na środku bowiem, na wielkiej płycie betonowej, żarzyła się, wyziewając straszne gorąco, jakaś płynna masa.

— Termit... — rzekł detektyw — Spodziewałem się tego.

— Co to jest?...

— Piec chemiczny. Stackpoyle stopił w nim metalowe części mechanizmu robota, telewizora i wysyłacza promieni, a może i modeli innych wynalazków. Tu spalił papiery... — wskazał na stos wygasłego już popiołu.

— A gdzież są zwłoki Pauliny Staszowskiej?

— Na swoim miejscu, na pewno na swoim miejscu, panie Czerwicki. Przypuszczam, że wkrótce usłyszy pan o nich, a może i o Williamie Stackpoyle'u...

W oczach młodzieńca wyczytał pytanie, którego nie śmiały wypowiedzieć drżące teraz usta.

— Pannę Warecką wypuścił Stackpoyle na wolność... — rzekł, patrząc gdzieś w głąb mrocznej sali — Sommersonne chciał ją poślubić i dlatego porwał. Bawi ona teraz zapewne w hotelu, przyjechała bowiem po nią bardzo bogata ciotka. Dama ta pragnie wydać ją za mąż za pewnego człowieka, nie posiadającego żadnych walorów, prócz okrągłego miliona. Nie wiem jak panna Warecka odniesie się do tego projektu...

To rzekłszy, udał się poprzez rumowiska w stronę przeciwległej ściany, świecąc sobie latarką.

Po chwili wrócił, dźwigając z pewnym wysiłkiem niewielką walizkę.

Podał ją młodzieńcowi, który ugiął się pod jej ciężarem.

— Oto dwa miliony w złocie, platynie i drogich kamieniach... — rzekł poważnie. — Oddaję je panu...

Czerwicki żachnął się lekko.

— Proszę pozwolić mi skończyć! — rzekł stanowczo detektyw. — Stracił pan posadę dla dobrej sprawy, a nagrody policyjnej nie otrzyma pan, choć słusznie się panu należy, gdyż Sommersonne umarł. Majątkiem tym mam pewne prawo rozporządzać i dlatego powtarzam: oddaję go do pańskiej dyspozycji, panu zaś wolno postąpić z nim według własnego uznania. Chciałbym tylko, aby przyjął pan ode mnie jedną radę: niech pan będzie człowiekiem normalnym i wyrzecze się ambicyj detektywnych. Takie natury jak pan mogą łatwo stać się kimś wręcz przeciwnym detektywowi. Ofiarując panu tę sumkę myślę, że dobrze zasłużę się ludzkości... Rad bym, aby pan dobrze mnie zrozumiał.

— Co panu daje prawo rozporządzania tym majątkiem? — zapytał drżącym głosem Jan.

— Słuszne pytanie i dlatego odpowiem na nie, aczkolwiek muszę prosić, aby odpowiedź pozostała przy panu. Jestem głównym akcjonariuszem koncernu, ograbianego od wielu lat przez Wareckiego i jego klikę. Rozumie pan, prawda? Dlatego pozwoliłem sobie zatrzymać samolot tej bandy.

— Samolot?!

— Tak, samolot, którym mieli oni uciec, a którym ucieknę ja. Mam już dość tych łajdactw, krętactw, złodziejstw i oszustw, panie Czerwicki. Gdy władze skonfiskują majątki poszczególnych członków bandy, koncern upomni się o swoje pretensje. Wtedy inni akcjonariusze będą zaspokojeni, gdyż ja zrzeknę się swojej części na ich korzyść.

Zamyślił się.

— Wabią mnie okolice Amazonki... — rzekł po chwili. — Jeszcze nigdy tam nie byłem... Ale zanim tam pojadę...

Uśmiechnął się młodzieńczo.

— Zanim pan pojedzie?...

— Muszę odwiedzić pana Dymowicza, strażaka, od którego pożyczyłem ten piękny mundur. Myślę, że jeszcze dotąd śpi, nieborak i dlatego chcę go przeprosić. Pozwoli pan teraz pożegnać się i życzyć sobie wiele szczęścia?

— Jeszcze jedno pytanie, jeśli łaska...

— Słucham.

— Dlaczego Stackpoyle nie uciekł z tymi bogactwami?



Nowy aparat tlenowy, pozwalający na dłuższe przebywanie pod wodą.

— Zetknąłem się już z nim kilka razy w ciągu swego niedługiego żywota. Wie on bardzo dobrze, że nie zdołałby uciec... Oczy detektywa, gdy mówił to, były zimne jak lód.

XXXIII.

SZAFIRY, SZAFIRY, SZAFIRY...

— Myślę — mówił Sławicz, ściskając na pożegnanie dłoń młodzieńca, że pańskie dwa miliony będą miały skuteczniejszą wymowę, niż samotny milion faworyta pewnej starej damy...

Twarz Jana oblała się krwią.

— Chyba, że woli pan szafiry, panie Czerwicki... — dodał, śmiejąc się — Szafiry zawsze mają więcej ciepła, niż szmaragdy, ale i to, jak wszystko, jest tylko rzeczą gustu...

I zniknął na zakręcie ulicy.

— — — — — — — —

Dziwne myśli kłębiły się w mózg Czerwickiego, gdy jechał dorożką do swej mansardy, trzymając między kolanami tak niespodziewanie zdobyte bogactwo.

Jak to on powiedział? Aha: „wolno panu postąpić z majątkiem według własnego uznania..." A potem: „Takie natury jak pan mogą łatwo stać się czymś wręcz przeciwnym detektywowi..." A zatem uważa, że mogę stać się niebieskim ptaszkiem... Czy dlatego dał mi te pieniądze, abym nie stał się niebieskim ptakiem, czy może dlatego, by dopomóc mi do tego? „Przysługa wobec ludzkości..."

Rozmyślania jego zmącił nagle donośny głos klaksonu.

Z przeciwnej strony, w spacerowym tempie jechało wielkie, purpurowe torpedo.

Czerwicki dostrzegł w nim Irenę, siedzącą obok wytwornej starej damy.

Światło latarni nie było zbyt silne, ale Jan nie miał wątpliwości, że koralowe usta dziewczyny wydęły się pogardliwie. Zerwał w ukłonie kapelusz, ale Irena odwróciła raptownie głowę.

Na przyciętych zębami wargach Czerwickiego ukazał się zły uśmiech.

„Pańskie dwa miliony będą miały skuteczniejszą wymowę..." Córka przestępcy — zmełł obelgę, ale nagle przyszła refleksja. — „Gdy wszyscy cię opuszczą, ja zawsze zostanę. Przysięgam ci! Ufaj..." Kto to tak powiedział? ! co usłyszał w odpowiedzi: „Idź i — wróć!" Poszedł, ale czy wrócił? Zapewnie, nie mógł, Sommersonne był silniejszy, a przytem szajka jej ojca, ale gdyby nie był opowiadał dziewczynie o swoich sukcesach, nie byłaby uwierzyła w niego tak, jakgdyby był Sławiczem! I gdy czekała na niego, gdy oczekiwała długie dni w niepewności co do swego losu, zrozumiała, że nie jest on bynajmniej tym, za którego go uważała...

Roześmiał się gorzko.

Dwa miliony ,dwa miliony... Głupie, nędzne pieniądze! Świat kupuje za nie wszystko: władzę, sławę, miłość, honor... Przy transakcjach takich gra rolę tylko wysokość ceny i gatunek towaru. Im wyższa jakość, tym wyższa cena, ale świat frymarczy wszystkim — za złoto, którego nikt nigdy jeszcze nie wziął ze sobą na drugi brzeg...

Kopnął z wściekłością walizkę.

A ulicą, równolegle z dorożką, biegł obszarpaniec.

— Straszliwy Trup?... — zawodził jękliwie. — Co to jest trup? Ale trupi jad, obacz zakażenie trupie... Co to jest zakażenie trupie?...

Dreszcz zimny przebiegł po plecach Czerwickiego.

Dorożka wyprzedziła obłąkanego Jabłowicza i niebawem zostawiła go w tyle.

— — — — — — — —

„Szafiry zawsze mają więcej ciepła..."

Jan patrzył z obudzoną nagle miłością w oczy Jagienki, siedzącej przed nim w wygniecionym fotelu, z którego wyłaziły sprężyny.

Oto podniósł maleńkie serduszko z korala... Oto podniósł małą, smutną laleczkę, ciśniętą swawolną ręką...

Pochylił się nagle i ucałował rozchylone wargi dziewczyny, a potem roześmiał się radośnie.

„Dwa miliony będą miały skuteczniejszą wymowę..." Nie, panie Sławicz, one w ogóle nie będą miały wymowy... Może świat frymarczyć wszystkim, może kupować szmaragdy za milion, ale te szafiry są droższe, droższe...

I... „zawsze mają więcej ciepła..."

EPILOG

Sześciu reporterów i korespondentów dzienników lokalnych i zamiejscowych miało dnia tego sensację.

Obracali w rękach komunikaty prasowe, wydane jak codziennie przez miejscowy wydział śledczy i z niedowierzaniem patrzyli w twarz kierownika brygady kryminalnej.

— I nic więcej, panie komisarzu?... — zapytał wreszcie jeden z nich. — Żadnych szczegółów? Ależ to...



Sezon ogórkowy

— Nie! — przerwał sucho stary policjant. — Oczywiście prowadzi się śledztwo, ale naturalnie...

Wymowny ruch ręką dopowiedział resztę. Nie potrzebują się fatygować, bo dochodzenie pozostanie tajemnicą.

Parę pomruków niewyraźnych, parę uścisków dłoni. Reporterzy i korespondenci znaleźli się na podwórzu wydziału.

— I co? — zapytał jeden z nich.

— Musimy dać tak, jak jest... — odparł drugi. — Cóż zrobimy?

— Pewnie! Kto idzie do „Adrii"?

— Ja!

— A ja do „Oazy".

— I ja!

— Ja do redakcji, mam pilną robotę, ale potem wpadnę do was...

— No, dobra! Servus!

— Servus!

Przedstawiciele prasy, tego najpotężniejszego z mocarstw, rozeszli się.

A nazajutrz we wszystkich dziennikach ukazał się komunikat policyjny, brzmiący dosłownie:

„Onegdaj około godziny 11 przed południem grabarz cmentarza zagórskiego, przechodząc jedną z alei, zauważył świeżo wykopany grób.

Zaintrygowany, podszedł bliżej, mogiły tej bowiem nie kopał, a potem sądził, że pogrzebano kogoś nielegalnie.

W piasek grobu wbita była tablica na drążku, zawierająca napis:

„Co do ziemi należy — oddaję ziemi..."

Grabarz, przerażony, pobiegł w stronę bramy cmentarnej, nim doszedł do niej, dostrzegł na jednym z drzew wisielca.

Zaalarmowane władze odkopały grób. W trumnie spoczywały zwłoki niejakiej Pauliny Staszowskiej, które przed trzema laty zniknęły w niewytłumaczony sposób z domu żałoby.

Trup pozbawiony był wnętrzności, płuc, mózgu i oczu, a ponadto znajdował się w stanie silnego rozkładu.

Wisielec okazał się zwłokami niejakiego Williama Stackpoyle, karanego przed laty za zabójstwo.

Jaki zachodzi związek między samobójstwem Stackpoyle'a, a samowolnym pogrzebaniem zbezczeszczonych zwłok ś.p. Staszowskiej, na razie nie udało się ustalić. Śledztwo w toku".

Wiadomość ta różniła się w poszczególnych pismach tylko tytułami, mniej, lub więcej pomysłowymi. Nikt z dziennikarzy nie zadał sobie jakoś trudu osobiście zająć się tą sprawą...

Mieszkańcy Zagłębia komentowali wypadek kilka dni. Czy owe zwłoki nie są czasem zwłokami tej kobiety, która tak niedawno przerażała wszystkich? A może to sprawka nekromanów?

Ale jeszcze nie nadszedł listopad, a już zapomniała o tem publiczność, zapomnieli reporterzy i korespondenci. Pamiętała tylko policja, ale i ona, nie mogąc wyświetlić zagadki, zmuszona była odłożyć sprawę ad acta.

Działo się to w roku 1934...

KONIEC.

ADAM CZEKALSKI

1)

Hollywood

POWIEŚĆ

I.

CZAR BLICHTRU

— Twoje racje wcale nie przemawiają mi do przekonania. Jestem pełnoletnią i nikt, nawet ty, nie może mi zaprzeczyć prawa do sławy.

Słowa te wypowiedziała osóbka młoda, jasna blondynka, szczupła, wysoka i niezwykle przystojna , ciskając gniewne spojrzenia na wszystkie strony, a jej nozdrza ruchome, nieustannie falujące, zdradzały podniecenie i zdenerwowanie.

Mężczyzna, stojący opodal, uśmiechnął się ironicznie, z bolesnym grymasem na ustach, i zgrabną dłonią pogładził czarną, bujną czuprynę. Lecz nie odrzekł nic, tylko podszedłszy po chwili do okna, wyjrzał przez nie na ulicę, a potem zaczął bębnić palcami po szybie.

Zaległo ciężkie milczenie, którego długo nikt nie przerywał: ani ta jasna i biała kobieta, wsparta w tej chwili jedną ręką o blat misternego biureczka, wzburzona, podniecona rozmową, ani ten młody człowiek o rysach górskiego orła, którego wzrok błądził w tej chwili gdzieś daleko w przestrzeni, jakby stamtąd oczekiwał pomocy, natchnienia do dalszej rozmowy i argumentów na poparcie swojego sprzeciwu.

Taki stan rzeczy trwał już tak długo, że w końcu mężczyzna uznał snać za wskazane zacząć na nowo rozmowę, bo odwrócił się raptownie i utkwiwszy swoje czarne, błyszczące źrenice w twarzy kobiety, patrzył na nią czas pewien, potem zaczął mówić równym, dość spokojnym, niskim i harmonijnym głosem, w którym drżała nuta jakby żalu:

— Posłuchaj mnie, Kaju. Nie sprzeciwiłbym się twojemu zamiarowi, może nawet byłbym z niego rad, gdybym nie wiedział, czym jest ten świat złudny, który tobie wydaje się rajem. To nie raj żaden, to nie złoto, chociaż wydaje się takim, to tylko blichtr i nic poza tym. A ty chcesz lecieć do tego złudnego blasku, jak ćma do ognia. W tych warunkach jakże łatwo osmalić sobie skrzydła.

— Tyle tysięcy ludzi pracuje tam, a nikt, jak dotąd, nie wrócił z osmalonymi skrzydłami — podsunęła już nieco łagodniej.

— Bo stamtąd prawie się nie wraca. Hollywood, to smok, który pożera młodość, siły, wysysa z każdego krasę, a potem rzuca na śmietnisko człowieka już nieużytecznego i zbędnego. I to są najnieszczęśliwsi ludzie na tym pięknym świecie, bo stracili wszystko: do innego życia już się nie nadają i nie mają żadnej na przyszłość nadziei. Dlatego ja nie mogę nigdy zgodzić się na twój zamiar, chociaż by on nawet był do wykonania i chociaż by te wszystkie miraże, które ci obiecuje agent firmy filmowej, były do ziszczenia. Masz zatem wóz i przewóz: albo zostać przy mnie i prowadzić życie spokojne i ciche, w szczęściu i dobrobycie, albo lecieć do tego złudnego świata po to, aby kiedyś żałować swojego dzisiejszego postanowienia.

— Ciche życie! — wydęła pąsowe usteczka wzgardliwie. — Czy to jest twój ideał? Czy sława, która czeka mnie za morzem, nie jest ważniejszą rzeczą, niż takie życie w zapomnieniu, gdzie znają mnie zaledwie najbliżsi znajomi?

— Wierz mi, że takie życie jest najpoczciwsze.

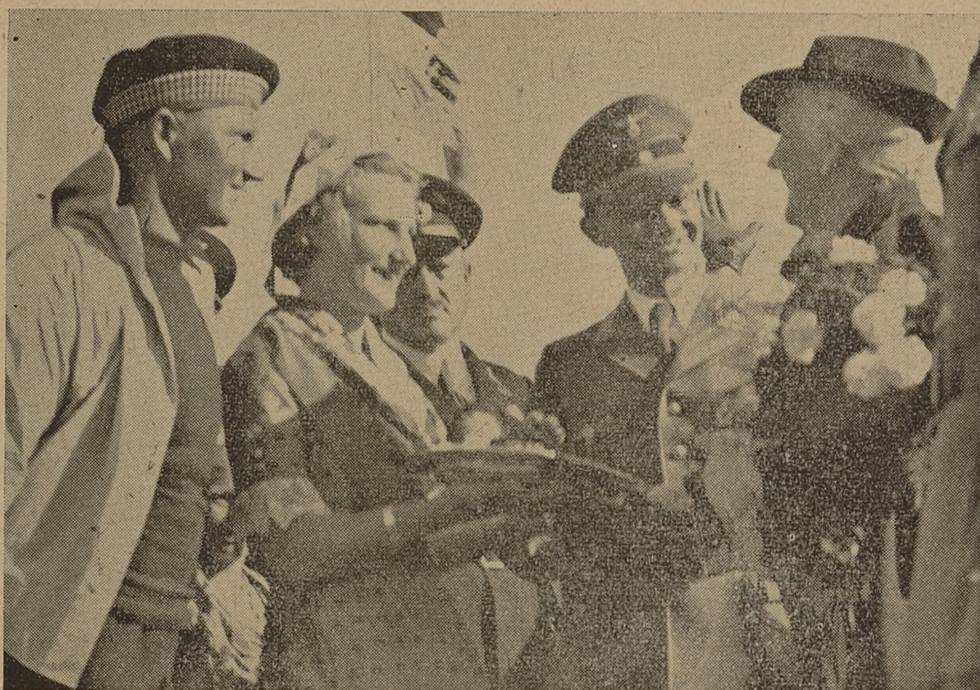
— Nie widzę nic niepoczciwego i w tym drugim życiu, którego ty mi wzbraniasz.

Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby przez to chciał powiedzieć, że brak mu już argumentów i znowu odwrócił się do okna i zapatrzył w dal, bo chciał przy tym ukryć ból, jaki wyrył mu się na smagłym obliczu na samą myśl, że ta kobieta, tak przez niego kochana, ta żona, do której dążył w ciągu lat przez tyle przeszkód, może naprawdę odejść od niego, odlecieć jak barwny motyl królewski i zaprzepaścić się tam, gdzie ją wzywała złuda i miraż, ale nie rzetelna prawda życia i nie rzetelna sława.

Znowu zaległo milczenie długie i przykre. Nie dziw. Od sześciu miesięcy tych dwoje było małżeństwem najszczęśliwszym bodajże na globie ziemskim i od sześciu miesięcy miłości ich nic nie przeszkodziło. Dzisiejsza sprzeczka była pierwszą w ich pożyciu, a sprzeczka ta nie była z kategorii drobnych sprzeczek małżeńskich, które zazwyczaj nader prędko zwykły mijać i to nieraz bez śladu.

Mężczyzna patrzył w dal i myślał o tym, co stanie się w końcu: czy jego prawda życia zwycięży, czy też weźmie górę nad nim ona ze swymi poglądami i zapatrywaniami, które grożą rozbiciem małżeństwa i ruiną wszystkich rojeń młodości.

Przez jego mózg przesuwać się teraz jęły wszystkie wspomnienia przeszłe, jak obrazy na taśmie filmowej. Jął więc wspominać wszystko, co przeszedł, aby dokonać swego i zdobyć tę, której poświęcił swoją młodość.



Podczas pobytu regenta Horthy'ego w Niemczech, na Helgolandzie wręczono małżonce regenta w podarunku wspaniałego homara.

Poznali się na jednym z balów: on, 22-letni student akademii kolonialnej w Antwerpii, Roger Puroll, ona, młodziutka jedynaczka bogatego przemysłowca, Kaja de Rieth. Zakochała się w nim tego wieczoru od pierwszego spojrzenia, a on podzielił to uczucie. Od pamiętnego wieczoru balowego spędzali razem wszystkie wolne chwile.

Niestety, karnawał kończył się. Kaja miała wyjechać z rodzicami do ich posiadłości w Ardenach. Wakacje Rogera kończyły się również. Musiał wracać do Antwerpii. Wprawdzie była na to rada: małżeństwo. Niestety jednak, Roger Puroll był bardzo ubogi i oboje młodzi rozumieli doskonale, że na ich związek rodzice Kaji nie pozwolą.

Ale miłość okazała się silniejszą od wszelkich rozumowych kalkulacyj. Młodzi ludzie postanowili uciec do Anglii i tam wziąć ślub. Ucieczkę wyznaczyli na ostatni dzień pobytu Kaji w Brukseli. Wieczorem tego dnia Kaja prosiła rodziców o zezwolenie na udanie się do teatru z Rogerem. Rodzice, którzy nie przykładali większej wagi do flirtu córki, pozwolili jej na to chętnie, rozumiejąc, że nazajutrz Kaja i tak musi się rozstać z Rogerem.

Zamiast do teatru, Roger i Kaja udali się na dworzec kolejowy i pojechali do Ostendy, gdzie zamierzali wsiąść na parowiec, płynący do Anglii.

Lecz tutaj spotkała ich przykra niespodzianka. Na dworcu w Ostendzie czekali już dwaj agenci tajnej policji, którzy zatrzymali romantyczną parę i odprowadzili do komisariatu. Po kilku godzinach do Ostendy przyjechał sam pan de Rieth i załatwił sprawę krótko: zabrał córkę siłą do swojego auta i kazał szoferowi wieźć ją do Brukseli. Rogerowi zaś oświadczył, że jeśli nie przestanie się widywać z Kają, będzie oskarżony o uprowadzenie nieletniej i sąd skaże go na paroletnie więzienie, co mu zupełnie złamie karierę. I Roger zrozumiał niebezpieczeństwo. Obiecał więc panu de Rieth przez cztery lata nie komunikować się z jego córką i złamany na duchu, odjechał do Antwerpii na dalsze studia.

Lecz nim to się stało, przed rozstaniem z Kają szepnął jej: „Za cztery lata wrócę".

— Będę na ciebie czekała — odszepnęła.

Minęło cztery lata. Kaja spędziła je w pensjonacie dla panien w Szwajcarii. Pewnego dnia, kiedy, korzystając z przerwy wakacyjnej, wracała pociągiem przez Bazyleję do Brukseli, już za granicą belgijską, przed malutką stacyjką Jemelle, gdzie miała się przesiąść, konduktor pociągu oświadczył:

— W jednym z wagonów zapaliła się oś. Pociąg spóźni się o pół godziny i straci połączenie.

Istotnie, pociąg przyszedł do Jemelle z półgodzinnym opóźnieniem. Pociąg do Brukseli, do którego Kaja miała przesiąść, już odjechał. Musiała więc czekać na następny.

Tragarz zaniósł jej rzeczy do malutkiej poczekalni. Zrezygnowana usiadła w zatłoczonej sali, przygotowana na kilkugodzinne oczekiwanie.

Naraz na salę wszedł elegancki młody człowiek. Był to Roger Puroll.

— Roger! — zawołała Kaja, niezupełnie oczom wierząc.

W mgnieniu oka Puroll znalazł się przy niej.

Jechał on właśnie do Kaji do Szwajcarii. Przez te cztery lata, w ciągu których nie miał z nią kontaktu, skończył uniwersytet, praktykował w administracji kolonialnej w Kongo, tam nawiązał stosunki z pewną amerykańską firmą samochodową, został jej przedstawicielem, a następnie, dzięki wyjątkowej pracowitości i niepospolitym zdolnościom, został dyrektorem jednego z jej oddziałów. Jego sytuacja materialna była już wtedy doskonała. Pierwszy urlop, jaki otrzymał, zamierzał wykorzystać, aby odszukać Kaję i poprosić o jej rękę. Na stacji w Jemelle miał przesiadać. Przypadek zetknął go z ukochaną. Naturalnie, pojechali już razem i w miesiąc później stanęli przed ołtarzem. Tym razem rodzice Kaji nie robili żadnych przeszkód. Potem wyjechali już razem do Konga, ale że Kaja nie czuła się tam zbyt dobrze, powróciła więc do Brukseli, gdzie zamieszkała u rodziców. I oto zdarzyło się, że skuszona po prostu próżnością, pewnego dnia zgłosiła swoją kandydaturę na „królową piękności" Belgii i została uznana za najurodziwszy typ Belgijki, a w ślad za tym zaproponowano jej trzyletni kontrakt do Hollywood w Stanach Zjednoczonych, do owej Mekki filmowej, gdzie miano z niej zrobić „gwiazdę". Wszystko to nastąpiło w tak błyskawicznym tempie, że nie zdążyła nawet powiadomić męża o mającej zajść w jej życiu zmianie po sześciomiesięcznym wspólnym pożyciu małżeńskim. Roger jednak, chociaż nie powiadomiony bezpośrednio przez żonę, jak tego należało się spodziewać, przeczytał o wszystkim w dziennikach i natychmiast wziął urlop, przyjechał, jak mógł najprędzej do Brukseli, aby zapobiec złemu, które w niwecz mogło obrócić jego szczęście.

Teraz właśnie oboje małżonkowie, zamknięci w osobnym pokoju, rozpoczęli dyskusję na ten szczególny temat, w którym Roger okazał się bezwzględnym przeciwnikiem zamorskiego lotu żony, a wyczerpawszy już prawie wszystkie racje i argumenty, jakie przemawiały za nim, stał teraz przy oknie i patrzał na szumiące i zgo-



Żona słynnego lotnika Lindbergha uczestniczy prawie we wszystkich lotach swego męża. Na zdjęciu pani Lindbergh'owa wsiadająca do samolotu

rączkowane w dali miasto, którego odgłosy dochodziły tutaj jak daleki przypływ fal morskich do brzegu.

— Roger — szepnęła znowu Kaja, pragnąc przerwać nareszcie to przydługie i męczące milczenie.

Mąż odwrócił się zwolna w stronę żony, a jego czarne źrenice były teraz tak bardzo zwilgotniałe, jakby je łzy bólu zatopiły nagle. Kaja mimo woli spuściła wzrok na końce swoich pantofelków, nie śmiąc spojrzeć w te oczy kochane, takie żałosne teraz i takie przedziwnie smutne.

— Słucham — wyrzekł Puroll — czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

— Roger — podniosła oczy Kaja — przecież w tym, że jadę do Ameryki, naprawdę nie ma nic złego... Tyle ludzi tam jedzie... Czyż nie będzie ci miło, gdy zostanę sławną? Zawsze mi powtarzałeś, że uczyniłbyś wszystko dla mojego szczęścia. Czemuż zatem nie chcesz się zgodzić na ten mój wyjazd?

— Bo ten wyjazd nie ma nic wspólnego z twoim szczęściem, ale przeciwnie — tylko nieszczęście przynieść ci może. Nie znasz tego strasznego tygla, jakim jest „studio" filmowe, nie znasz tych ludzi zwariowanych i oszalałych, tych kucharek w złotogłowiach i szoferów we frakach, tych ludzi pustych i czczych, w których za grosz nie ma prostoty i niewiele poczciwości się mieści.

— Ech, tak źle znowu nie jest... Ale gdyby nawet tak było, to przecież ja nie jestem do nich podobna i nie potrzebuję zniżać się do poziomu ludzi, którzy mi nie będą odpowiadali.

— Gdyby nawet tak było, Kajo, gdyby nawet tak było... Ale czyż miłość moja nic już dla ciebie nie znaczy, że chcesz ją podeptać i odejść ode mnie, od spokojnego szczęścia i lecieć za morze dla chimery i złudy?

— Ja ciebie nigdy nie przestanę kochać, Rogerze, przecież znasz mnie dobrze i chyba możesz uwierzyć temu zapewnieniu. Będziemy się nadal widywać, nadal będziemy się kochać. Ty przyjedziesz do mnie, ja ciebie odwiedzę w miesiącach zimowych w Kongo i tak dwa trzy razy w ciągu roku spędzimy kilka tygodni razem. Wierz mi, kochany, że miłość nasza na tym oddaleniu nic nie straci, ale przeciwnie: będzie zawsze świeża, zawsze nowa i zawsze inna.

— Teraz ja ci z kolei powiem, że twoje racje wcale mi nie przemawiają do przekonania. Nie mogę się zgodzić na taką rozłąkę, bo to oznacza całkowite rozbicie naszego szczęścia. Rodzina wtedy dopiero staje się wartościową komórką społeczną, jeżeli spełnia swoje obowiązki, jakie na nią wkłada prawo Boże i prawo ludzkie. A twój wyjazd niweczy rodzinę, zatem sprzeciwia się również obu tym prawom.

— Przecież zgodziłeś się na mój odjazd z Konga do Brukseli.

— To rzecz zupełnie odmienna. Ten odjazd był konieczny ze względu na twoje zdrowie, ale wyjazd do Ameryki nic nie ma wspólnego ani z twoim zdrowiem, ani z naszym szczęściem.

— Więc mi stanowczo wzbraniasz?

— Jak najbardziej stanowczo.

— I uczynisz wszystko, aby mi przeszkodzić w zrealizowaniu moich pragnień i marzeń o sławie?

— Nie. Jawnie nie będę ci przeszkadzał, gdyż nie chcę pokazywać bólu własnego serca ludziom, których to nic nie obchodzi. Ale przecież powinno ci wystarczyć to, iż ja sobie nie życzę, abyś wyjeżdżała. Zrozumiesz to, jeśli nie zaraz, to może w przyszłości, i na pewno będziesz żałowała swego dzisiejszego postanowienia.

Kaja myślała przez kilka chwil. Widać było, że i ona cierpi z powodu tej dzisiejszej rozmowy. Z jednej strony pragnęła zostać przy nim, gdyż naprawdę kochała go szczerze, prawdziwie i jedynie, ale z drugiej znowu strony pokusa sławy była tak olbrzymia, iż jej się oprzeć nie była w stanie. Ona przecież już od dnia, w którym podpisała kontrakt z agentem firmy filmowej w Hollywood, widziała oczami wyobraźni swój triumfalny pochód przez wszystkie ekrany świata, widziała swoje imię błyszczące kolorami tęczy świateł neonowych, słyszała to imię wymawiane przez miliony ust z uznaniem, zachwytem, niemal z ekstazą. Sława szła przed nią i za nią, okrywała ją złotolitym płaszczem. Wychowana dotychczas we wszelkich wygodach, jakie dać jej mógł zamożny dom rodzicielski, a następnie dom mężowski, nie pragnęła tak dalece bogactwa. Ale już po swoim wstępnym wystąpieniu na „konkursie piękności", kiedy prasa codzienna zajęła się nią, drukując najrozmaitsze ploteczki gwoli ciekawości gawiedzi, a pisma ilustrowane zamieszczały dziesiątki jej fotografij w najrozmaitszych pozach, doznała pierwszej wielkiej pokusy, jaką stwarza sława, zachłysnęła się nią, bujała w marzeniach i z biegiem czasu tak to jakoś samo się złożyło, że pragnienie „uwiecznienia się" wyrosło w niej do niebywałych rozmiarów i opanowało całą. I teraz, kiedy w rozmowie z mężem, próbowała znaleźć jakieś dobre wytłumaczenie, aby temu człowiekowi osłodzić gorycz rozstania, wiedziała już dobrze, iż nie ma na świecie takiej mocy, która mogłaby zmienić jej postanowienie i zmusić do zastosowania się do rad męża.

Roger obserwował żonę ukradkiem spod nasuniętych na oczy brwi, a potem, odetchnąwszy jakby z widoczną ulgą, zaczął

mówić swym spokojnym harmonijnym i głębokim głosem:

— Wszelka sława „gwiazdy" filmowej jest bardzo zwodnicza i bardzo nietrwała. I wszyscy ci ludzie, którzy dzisiaj stoją u szczytu nie sławy, ale u szczytu swoich karier, przebiegli swoją drogę w bardzo krótkim czasie i na chwilę tylko zatrzymali się na szczycie, aby niebawem pogrążyć się w niepamięci i cieniu. Dlatego nie można o nich powiedzieć, aby to były istotne „gwiazdy". Nie, to są tylko meteory, które zapalają się na moment na firmamencie filmowym i niebawem gasną. Tylko jakaś psychoza ludzka, niepojęta dla człowieka normalnego, stwarza podłoże do tych ekstaz i uniesień ludzi młodych i zmanierowanych, którym nie wystarcza codzienny spokojny kawałek chleba, zarobiony godziwą pracą, ale żyją marzeniami i często porzucają spokój i dobrobyt dla nędzy i poniewierki pod niebem kalifornijskim. Pokusa filmowa ma wiele cech wspólnych z pokusą nałogowego gracza. I tam i tu istnieje hazard, a każdy hazard jest niebezpieczny. Wspomnij sobie, moja Kaju tych wszystkich filmowców, jeszcze przed kilkunastu laty bardzo sławnych w tym świecie iluzyj, a o których dzisiaj nikt nie pamięta. Jestem przekonany, że ty, która chcesz iść ich śladami, nie znasz nawet ich imion. Trzeba by dopiero brać do ręki stare roczniki pism filmowych, aby w nich wygrzebać zapomniane zupełnie nazwiska. I taki jest los wszystkich tych iluzorycznych sław, które nie są sławami.

Kaja słuchała w milczeniu tych dźwięcznych, ściszonych, ale jakby spiżowych słów, chwilami podnosiła na niego swoje ładne oczy, ale słowa mężowskie padały w próżnię. Hazard filmowy ogarnął ją już całą, podbił i shołdował bez reszty. Prawda, i ona zgadzała się chwilami z tym, że życie „gwiazd" i „gwiazdorów" nie jest życiem bujnym, pełnym krasy i piękna, że pod pozorami dobrego tonu i ułożenia kryje się raczej pierwotność i chamstwo wypolerowane z grubsza, ale to jednak nie odstraszało jej.

— Koszty zerwania kontraktu pokryję — podjął znowu Roger. — O to się nie martw. Zgódź się tylko na zerwanie kontraktu. A potem pojedziemy do Kongo. Teraz jest tam najpiękniejsza pora roku. Będziemy polować, będziemy robili wycieczki, później zajmiesz się sprawami tubylców, biednych i opuszczonych i, wierzaj mi, daleko więcej przyniesie ci to korzyści moralnych i zadowolenia, niż złudna sława Hollywood.

Głos Rogera brzmiał łagodnie, ciepło i bardzo mile, jak głos człowieka dobrego, który przemawia do rozkapryszonego, ale i bardzo kochanego dziecka, tłumacząc mu całą niewłaściwość drobnej psoty.

Kaja milczała, bo ten głos mężowski obezwładniał ją prawie. Ale wnet z pomocą przyszły jej wizje dalekiej i odległej jeszcze sławy, drogi życia zasłane różami pachnącymi i kwieciem, które rzucali jej pod stopy wielbiciele całego świata. Na myśl, iż by się tego wszystkiego wyzbyć miała, mrówki przebiegły jej po ciele z żalu. Więc zdobywając się na stanowczość i twardość głosu, odrzekła:

— Nie, Rogerze, to jest ponad moje siły. Nie, nie mogę postąpić tak, jak mi radzisz, chociaż czuję, że rada twoja jest dobra.

— Zamykasz więc oczy, idąc po wąskiej kładce nad przepaścią?

— Nie, ja na nic oczu nie zamykam, ale widzisz... ja się już tak bardzo zżyłam z moimi marzeniami o tym nowym życiu za oceanem, że nie jestem w stanie wyzbyć się ich. Powtarzam: to ponad moje siły.

Roger zagryzł boleśnie wargi, uderzył swoimi rozmarzonymi, czarnymi źrenicami w twarz żony, potem pobladł nieco z wielkiego wzruszenia i prawie jęknął boleśnie, niż rzekł:

— Zatem... nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pożegnać cię i... życzyć sławy za morzem... Ale gdybyś jednak kiedykolwiek chciała wrócić, wiedz o tym, że dom twój czeka na ciebie w Kongo. Zostanę sam jeden na Bożym świecie z pracą jedynie moją, a radością mi będzie każde wspomnienie o tobie i przeszłości, w której byłem szczęśliwy.

Kaja wybuchła płaczem. W tej chwili miała moment słabości, w którym omal nie wyrzekła się tak długo śnionej przyszłości i sławy na srebrnym ekranie. Lecz był to tylko moment, który minął nader szybko.

Roger uspokajał ją czas jakiś, a potem przycisnąwszy do piersi i złożywszy na jej ciepłych ustach pocałunek, prawie uciekł z mieszkania teściów. I tegoż jeszcze dnia, nie żegnając więcej nikogo, pognał pociągiem do Ostendy, gdzie złapał statek i pognał dalej pod skwarne niebo Afryki. Uwoził z sobą ból i cierpienie, tęsknotę za przeszłością i szczęściem, ale w miarę upływu czasu, dusił je w sobie i tłumił, aż zaległy gdzieś tam na dnie jego serca, aby w rzadkich chwilach budzić się i zrywać jak płomień, który zdolen był go spalić.

II.

PIERWSZE KROKI

Po wyjściu męża, Kaja padła na pół złamana na najbliższe krzesło i, ukrywszy twarz w dłoniach, długo szlochała, bo i ją ta pierwsza sprzeczka z mężem wzruszyła bardzo i wyczerpała ogromnie. Żal i ból serdeczny na myśl o krzywdzie, jaką wyrządziła swoją decyzją temu dobremu i szlachetnemu człowiekowi, tak ją przeniknęły, że nie mogła o niczym innym myśleć, oprócz ostatnich słów męża.

I trwała tak na jednym miejscu długi czas, aż dopiero pokojowa, wszedłszy bezszelestnie do pokoju, oznajmiła jej, że przybył pan Dawid Almond, który pragnie się z nią widzieć.

Na dźwięk nazwiska agenta firmy filmowej, z którym przed niedawnym czasem podpisała kontrakt trzechletni, Kaja ocknęła się ze swego niemego bólu i podniosła oczy pełne łez na dziewczynę.

— Kto taki? Kto przyszedł? — spytała, nie zrozumiawszy poprzednich słów pokojowej.

— Przyszedł pan Dawid Almond, proszę pani.

— Aha, pan Almond — powtórzyła i podniosła się. — Dobrze, wprowadź go do gabinetu pana. Ja tam zaraz przyjdę.

Po wyjściu dziewczyny, Kaja przeszła do swojego pokoju i zajęła się ułożeniem twarzy, zacierając wszelkie ślady łez na niej. Potem przejrzała się w wielkim lustrze, poprawiła włosy i, uśmiechnąwszy się smutnie sama do siebie, poszła do pana Almonda.

Pan Dawid Almond, był to przebiegły Żydek gdzieś ze Stryja czy Drohobycza, który niezbyt jeszcze dawno nazywał się po prostu Migdał. Ale od chwili, gdy udało mu się wkręcić na przedstawiciela filmowej firmy amerykańskiej na Europę zachodnią, uznał za potrzebne zmienić nazwisko na bardziej amerykańskie i przezwał się Almond. Wzrostu małego, szczupły, chuderlawy i o nieproporcjonalnie wielkiej głowie i uszach, mister Dawid Almond na pierwszy rzut oka robił wrażenie wprost komiczne. W gruncie rzeczy jednak był to człowiek bardzo sprytny i przebiegły i koło swoich interesów umiał chodzić doskonale. Mister Almond od razu spostrzegł zmianę w twarzy swojej pupilki i zaintere-



Dokładne pomiary ciała decydują o karierze przy angażowaniu modelek w wielkich domach towarowych.



Do cudów fauny morskiej należy meduza.

sował się przyczynami, które ją mogły wywołać.

— Czy pani przypadkiem nie chora?

— Nie, czuję się zupełnie dobrze — odrzekła Kaja.

— A jednak mam wrażenie, jakby pani coś dolegało.

— Doprawdy, nic mi nie jest.

— Jest pani smutna...

— To prawda. Miałam maleńkie przejście z mężem.

— Uś, to niedobrze! Pani musi unikać wszelkich wzruszeń i niepokojów, pani powinna być zawsze wesoła, jak ten ptaszek na łące. To jest konieczne dla zachowania dobrego wyglądu i dobrej prezencji. Ja tu przychodzę do pani z polecenia naszego reżysera Herberta Canfielda. Mam pani dać pewne rady przed odjazdem.

— Czy już mam zbierać się do wyjazdu?

— No, nie zaraz, nie w tej chwili, ale za jakiś dzień, dwa musi pani już być gotowa i wyjechać do Dunkierki, skąd dostanie się pani statkiem przybrzeżnym do Cherbourga i wyruszy następnie w świat po sławę i dolary.

Kaja uśmiechnęła się blado, jakby z przymusem.

— Cóż to, pani się nie cieszy?

— Jeśli mam powiedzieć panu szczerą prawdę, to niebardzo.

— Co pani, co? Czy pani wie, że inna piękna kobieta na pani miejscu nie miałaby słów wdzięczności dla sir Herberta i dla mnie oczywiście za to, że stwarzamy jej wszelkie warunki zdobycia sławy i olbrzymiej fortuny?? Czy 10 tysięcy dolarów miesięcznie jest do pogardzenia? A sława to pies?

— Pewnie, pewnie, panie Almond, że to wszystko jest nie do pogardzenia, i ja to doskonale oceniam, ale proszę się nie dziwić, gdyż jestem dzisiaj bardzo wzruszona i przejęta ozmową, jaką co tylko odbyłam z moim mężem.

Blady uśmiech znowu wykwitł na ustach Kaji.

— Mąż tu nie może mieć żadnego głosu. Sława, jaka panią czeka, jest ważniejsza, niż sto mężów nawet. Uf, a gdy już o męża będzie chodziło, to czy pani nie znajdzie go w Ameryce? Czy tam brakuje przystojnych i bogatych mężczyzn? Czy tam nie jest raj dla kobiet?

— Panie Almond! — przerwała prawie ostro Kaja — proszę, zmieńmy temat. Powiedział pan, że przychodzisz od sir Herberta. Słucham więc, co mi pan ma do powiedzenia?

— Dobrze, dobrze, szanowna pani, zmieńmy temat, a zatem: mam pani oznajmić, że za dwa dni wyjedzie pani do Brukseli. W podróży otrzyma pani za towarzyszą naszego lekarza, mister Charles Lanstown'a, głośnego kosmetologa. On będzie czuwał nad panią i udzieli jej w podróży szereg dobrych rad, do których, zgodnie z warunkami kontraktu, będzie pani obowiązana się zastosować.

— A gdzież mam się spotkać z tym panem?

— Będzie na panią czekał w Dunkierce i już na miejscu zajmie się wszelkimi kłopotami, jakie są związane daleką podróżą morską.

— A poznam go chociaż?

— Ale on panią pozna, on zna już panią dobrze z ilustracyj w prasie.

— Dobrze.

Mister Almond powstał z uśmiechem zadowolenia na szerokich ustach.

— Zatem już mogę odejść. I jestem przekonany, że pani zjawi się w Dunkierce punktualnie w oznaczonym terminie. Jutro otrzyma pani wszelkie potrzebne dokumenty. Przyślę je przez mojego urzędnika.

Almond skłonił się niezgrabnie raz i drugi i cofając się tyłem ku drzwiom, opuścił gabinet pana de Rieth.

Nazajutrz, jak to obiecał, agent firmy „Blackbee-Film" przysłał dokumenty i ostatnie polecenia i trzeciego dnia, Kaja, odwieziona na dworzec przez oboje rodziców i kilkoro przyjaciół, wsiadła do pociągu i ruszyła w świat.

Kiedy pociąg mijał większe i maleńkie stacyjki belgijskie, Kaja omal nie wybuchnęła płaczem, taki żal ją zdjął za tymi wszystkimi miejscami tak bardzo kochanymi, które znała od najwcześniejszej swojej młodości. Wnet jednak żywość jej natury, nadzieja triumfów, które ją czekały za morzem, pod słonecznym i zawsze uśmiechniętym niebem Kalifornii, wzięły grę nad rozrzewnieniem, więc się rozpogodziła i patrząc przez okno na mijane krajobrazy, marzyła i uśmiechała się do swoich rojeń dziewczęcych. Chwilami tylko, gdy sobie przypomniała Rogera, znowu twarz zaciągała jej się mgłą rozrzewnienia i żalu, ale i te chwile były coraz rzadsze i rzadsze, tak, że gdy w końcu przejechała granicę francuską i stanęła w Dunkierce, wydało jej się, że z tych wszystkich żalów nic w niej już nie pozostało.

Mister Lanstown czekał na dworcu i prawie od razu ją poznał. Zabrał ją więc zaraz do salonów dworcowych, zamówił jakiś posiłek i przyglądał jej się bardzo uważnie i ciekawie, aż się Kaja chwilami rumieniła pod jego badawczym wzrokiem. Wreszcie mister Charles rzekł:

— Jest pani bardzo ciekawym typem, madame, bardzo ciekawym... Te zielone oczy pani zrobią w Hollywood furorę. I ten nosek! Zawsze w ruchu, zawsze falujący, niespokojny — to jest wysoka klasa pani urody.

Kaja onieśmieliła się jeszcze bardziej po tych słowach doktora, ale w duchu była zadowolona z jego zachwytów.

A kiedy już płynęli po niespokojnych wodach kanału La Manche na zachód ku Cherbourgowi, Kaja zapytała nieodstępującego jej ani na chwilę mister Lawnstona:

— Proszę mi powiedzieć, doktorze, czemu się to dzieje, że na tyle pięknych twarzy w Hollywood, szukacie jednak panowie wciąż po świecie przystojnych kobiet i ściągacie je do siebie za grube pieniądze?

Doktor uśmiechnął się pobłażliwie.

— Zaraz widać — odrzekł — że pani niewiele pojmuje z tajemnic filmowych, skoro mnie o to pyta. Niemniej jednak jestem obowiązany odpowiadać na wszelkie pytania pani. A więc przyczyna tego jest nader prosta: exhibitorzy, inaczej: właściciele kin w całych Stanach żądają od wytwórni coraz to nowych twarzy kobiecych. i to takich twarzy, które by stały się wabikiem dla najszerszych warstw społecznych. I my musimy się temu zawsze poddawać, jeśli produkowane filmy nie mają zrobić na samym wstępie bezapelacyjnego fiaska.

— Jakto? Więc właściciele kin mają tak wielki głos?

— Czy mają głos? Madame, oni są jedynymi dyktatorami dla nowych gwiazd i o tym pani musi pamiętać.

— Dziwne doprawdy!

— Przeciwnie, skoro pani pozna warunki na miejscu, przekona się pani, że to nie tylko nie jest dziwne, ale zupełnie na miejscu, zupełnie właściwe. Boć madame, na cóż by się zdał najlepszy i najkosztowniejszy nawet film, jeżeli nie znajdzie poparcia u exhibitorów całych Stanów Zjednoczonych? Czy pani przyniósłby jakąkolwiek sławę film, leżący w kasetach wytwórni? Na pewno nie. A poza tym, proszę nie zapominać, że każdy dobry film kosztuje ciężkie tysiące, setki tysięcy dolarów!

Ciąg dalszy na str. 753.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

TY... I JESIEŃ...

To nie moje słowa szeleszczą,
to ty... z dali wieczornej je niesiesz... —
i ozdabiasz je — gałązką zwiędłych liści..
w twym spojrzeniu —
Nie ozdabia się życia — kwiatami...
które więdną jak spóźnione róże...
Lecz zdobywa się woli nakazem,
czy burzą... —
Życie twoje — niech będzie ci latem...
niech się pyszni zielenią bogatą...
moja jesień... ozdobi je w liście...
w złote liście...
— nim przeminie lato.
Moje myśli — srebrną pajęczyną
twoje serce oplata ich miłość...
Powiedz...
niech ja będę twą jesienią...
skoro w niej — tyle słów mych się
ukryło.

Józef Baranowski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem przesłania zalegających w redakcji listów, proszeni są: „Wit z Poznania" i „Blondyn spod Grudziądza".

UBĘDZIE CI JEDEN MIŁY DZIEŃ!

„Aneczka". Z przyjemnością odpisuję na dwa Twoje ostatnie listy, Kochana Dziewczynko.

Owszem, rozumiem to, że zajęcie jest pierwsze, a potem dopiero przyjemność i nie mam specjalnych zastrzeżeń przeciwko temu, że nie stawisz się tu w dzień naszego zjazdu. Może przyszły zjazd będzie miał i w Tobie uczestniczkę, a na ten raz możesz jedynie żałować, że ubędzie Ci jeden mile spędzony dzień wśród osób niby dalekich, a jednak tak bliskich!

Posyłam Ci serdeczny uścisk dłoni i zamieszczam komunikaty:

„Wesoła Ślązaczko". Serdecznie dziękuję za pozdrowienia, które mnie mile zaskoczyły i zasyłam Pani milutkie „Pa". O ile możności proszę o liścik!

„Lucynie", „Kalinie z Podlasia" i „Władowi" — zasyłam moc pozdrowień i proszę również o liściki.

„Nell z Bydgoszczy". Chcę się z Tobą zaprzyjaźnić. Czy przyjmiesz? Mieszkasz w Bydgoszczy? Ja też! Wiesz — bardzobym chciała wiedzieć, gdzie mieszkasz i czy byśmy mogły się widywać i razem urządzać spacery!

Proszę o odpis, ale szybciutko — dobrze? Tymczasem moc całusów!

„Smutna i Brzydka Irka". Kochasz? A więc bardzo jestem Tobie wdzięczna i odwzajemniam się serdecznościami oraz proszę o jakiś znak.

ZNAJDZIE JE PANI

„Szatynka z Podlasia". Niniejszym przyjmuję Panią do naszego grona z miłym życzeniem, abyś czuła się w nim jak najlepiej.

Wiersze oddałam Wujkowi Januszowi do oceny — sądzę, że niedługo ujrzy je Pani w druku, jeżeli naturalnie są fortunne. Ja mam ostatnio taki nawał pracy, że nie zdążyłam ich przeglądnąć, choćby nawet najbardziej pobieżnie.

Sprawy związane z „Moją Przyjaciółką" podałam redaktorce „My kobiety między sobą" do załatwienia. Ja załatwiam tylko sprawy „Moich Powieści".

Pyta mnie Pani, czy mam siostrę w Lublinie, a czy wiadome jest Pani moje nazwisko? Mam wrażenie, że moja miła nowa znajoma skojarzyła mnie w swoich myślach z jakąś inną, ze mną niemającą nic wspólnego — osobą. Wnoszę to choćby z tej prostej racji, że nie mam w ogóle siostry, a tylko jednego braciszka.

Ponadto nie mam licznej rodziny, ni bliższej ni dalszej, co oczywiście nie przeszkodziłoby mi w skomunikowaniu się z tą panią Marią, gdyby rzeczywiście okazała się właścicielką jednego ze mną nazwiska. Znajdzie je Pani na ostatniej stronie „Moich Powieści" w rubryce informacyjnej.

Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i czekam na nową rozmowę! A teraz apel:

„Pragnę nawiązać nić przyjaźni bez względu na płeć! Jestem pozbawioną towarzystwa z tego powodu, że mieszkam na wsi.

Szukam serca, a nie walorów zewnętrznych. Proszę Miłe „Krainianki" i Miłych „Krainiaków" o skreślenie kilku słów do mnie, adres w redakcji „Moich Powieści".



„Dziewczynka z zaklętego młyna".

NAPISAŁAM

„Eros". Z przyjemnością spełniam Twoje życzenia, gdy tylko leżą one w moich kompetencjach. I tak postarałam się załatwić wysyłkę „Mojej Przyjaciółki" na wskazany przez Ciebie adres, napisałam w wiadomych Ci sprawach do obu wymienianych pseudonimów, nagrodę wysłałam Ci dnia 20 VIII br. To już wszystko!

Cieszy się serce moje i raduje dusza, że wakacje, Miły Siostrzeńcze, spędziłeś tak korzystnie dla zdrowia. Teraz będziesz znowu wydajnie pracował przez rok cały — życzę Ci powodzenia!

Komunikaty:

„Ninette". Dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je.

„Pilotka". Serdeczne dzięki za życzenia — trochę za wcześnie! Może napiszesz obszernie?

„Ryśka D." Ślę serdeczne życzenia imieninowe!

„Waldemiro". Dziękuję za pamięć i czekam wieści!

Wszystkim członkiniom i członkom radosne pa!"

POZDRAWIAM I CZEKAM!

„Królewicz z Łajki". Dziękuję Ci uprzejmie za nadesłany adres i resztę potrzebnych mi wyjaśnień. Odpowiedź informacyjną otrzymałeś już w międzyczasie — prawda?

Powiedz mi jeszcze, o jakich fotografiach mówisz w ostatnim liście. Czy mają to być fotosy do zilustrowania omawianych powieści, czy też Twoje własne fotografie lub wreszcie jeszcze jakieś inne?

W zeszłym tygodniu dosłałam Ci dwa listy i sądzę, że je otrzymałeś.

Pozdrawiam Cię serdecznie i czekam na dalsze znaki życia!

ZAPOMNIAŁEM...

Jakaś piosenka w moim sercu rodzi się i dzwoni;
ale kiedy ją chwycić i napisać chciałem,
słowa odbiegły, pióro wypadło mi z dłoni...
i już zapomniałem...
Jakieś usta nade mną schylały się lube,
ale zanim pocałunków rozkoszy zaznałem,
znikły, — darmo pragnąłbym dziś odzyskać zgubę
i już zapomniałem...
Gdzieś po drodze królewnę spotkałem zaklętą;
klękłem, ale nim usty miłość jej wyznałem,
poszła cicho ode mnie w świat drożyną krętą —
i już zapomniałem...
Niegdyś matka nabożnej uczyła modlitwy;
długo, długo, jej słodkie wyrazy szeptałem,
wreszcie słowa straciłem wśród życia gonitwy —
i już zapomniałem...

Jerzy Żuławski.

NOWY!

„Amerykanin". Przyjmuję Pana do „Krainy", życzę w niej przyjemnego uczestnictwa i zamieszczam apel:

Proszę o łaskawe przyjęcie mnie do „Krainy", za co z góry dziękuję.

Muszę przyznać, że „Moje Powieści" są zajmującą lekturą. Szczególnie do gustu przypadła mi „Kraina szczerości". Przez stały kontakt czytelników z sobą i redakcją powstają nowe, niewątpliwe wartości.

„Jako nowy czytelnik „Moich Powieści" pragnąłbym się Szan. „Krainie" zaprezentować. Ponieważ nie jestem w stanie dostarczyć swego foto-blicza, zmuszony jestem przeto słowem zastąpić wrażenia wzrokowe. Zasadniczo nie znosze auto-reklamy (auto-reklama... do pewnego stopnia przypomina mi auto, które tak pragnę posiadać) zatem oprę się na sądach (nie na tych, co z kodeksami mają do czynienia) bliźnich:

Od nikogo nie słyszałem opinii o mnie: „O, przystojny facet"! Stąd wniosek, że przystojnym nigdy nie byłem. Co do wzrostu (mojego!) — opinia jest podzielona: złośliwi twierdzą, że 2,03 m., zazdrośni, że 1,41 m. Od siebie dodam, że prawda, jak zwykle, leży po środku.

Co do koloru oczu, opinia zgodnie twierdzi, że kolor ich przypominają fale rzeki Detroit River, nad brzegiem której rozsiadło się moje rodzinne miasto — olbrzym o podobnej nazwie, tylko bez tego „River". Zatem kolor, od mętnego począwszy, poprzez liczne odcienie zieleni i błękitu tęczówki, czerni źrenicy, aż do bieli białkówki.

Nos, — z tym gorzej, bo jeśli napiszę: orli — nadobne wielkopolanki pomyślą: aha, semita! Wobec tego — silnie zadarty (oczywiście do góry!).

Uszy odstające, ale to tak bardzo, że wielkie i ciężkie okulary rogowe (oprawa rogowa) z wielkim trudem znajdują punkt „zaczepny". Antropologowie ten typ uszu nazywają „exemplum asini".

Włosy chwilowo blond. Za jakieś 30 lat okażą się na pewno siwe. Wiek — co do tego — nie ma mowy! Jestem dopiero w pierwszym ćwierćwieczu pierwszego wieku. Znaków szczególnych opinia powszechna nie zdążyła jeszcze uzgodnić, prawdopodobnie jest ich spora ilość.

Całość czyni wrażenie istoty cokolwiek inteligentnej, jednak o ograniczonych możliwościach — za to wielce samotnej!

Powyższe dane biograficzne podaję nie tylko dla orientacji Szanownych „Krainianek", ale przede wszystkim, by ułatwić pracę uczonym, którzy, po ukończeniu mego chwalebnego żywota, zechcą pisać moją biografię. Prawdopodobnie w międzyczasie uda mi się coś dokonać, czym zwrócę na siebie uwagę całego (nie) cywilizowanego świata.

Jest taki zwyczaj, że dziennikarze w wywiadach z nieprzeciętną jednostką wypytują się o „zamiary na przyszłość". Moi najbliżsi pragnę, bym był głośnym pisarzem. Znam właśnie takiego głośnego pisarza... gminnego, który „buchnął" kilka tysięcy i o którym głośno jest w gazetach. Ja osobiście natomiast mam zamiar i pragnąłbym otrzymać od sympatycznych i miłych „Krainianek" moc liścików",

W PORCIE

Lekko statki się kołyszą,
Lekko flagi się trzepocą,
Milknie przystań głuchą nocą,
Ledwie senne głębie dyszą.

Maszty skrzypią, fala pluska,
Potrącając czarne statki.
Naraz miga w wodzie gładkiej
Księżycowa złota łuska.

Nad wieczorne mórz tumany,
Na toń cichej lepkiej wody
Wszedł podłużny miesiąc młody,
Miesiąc, we mgle wykąpany.

K. M. Górski.

ZAUWAŻYŁAM

„Eden“. List Twój, Kochana, przesyłam na właściwy adres. Zauważyłam też, że zmieniłaś miejsce zamieszkania. Czy nie możesz mnie poinformować, jak Ci się obecnie powodzi i czy zadowolona jesteś z miejsca nowego pobytu?

Dawno już nie miałam obszerniejszego listu od Ciebie, a interesują mnie Twoje losy.

Przesyłam Ci serdeczne pozdrowienia i czekam na długi list!

ZAPOMNIEĆ TRZEBA!

„Wędrowna Chmurka“. Zapomnieć trzeba, Kochanie! Jest to niekiedy jedyne lekarstwo na ból duszy i skorzystać zeń należy, jeżeli chce się żyć życiem radosnym.

Kąpiel słoneczna dobrą jest rzeczą i cieszy mnie, że ją doceniasz.

„Moją Przyjaciółkę“ i „Moje Powieści“ otrzymywałaś, spodziewam się, że na adres wakacyjny. A jak zechcesz znowu otrzymywać pod starym, napisz do administracji naszego wydawnictwa.

Liścik dla Twej przyjaciółki wysłałam. Czy często korespondujecie ze sobą?

Życzę Ci, abyś zapomniała raz na zawsze o tym, co bolało i przesyłam tkliwy uśmiech.

„Halo! „Dyktatorze“ — jeśli warunki atmosferyczne pozwolą, to wkrótce!“

NATURALNIE!

„Żymełka“. Ależ naturalnie, że możesz przysłać swoje zdjęcie do zamieszczenia w „Krainie“. Postaraj się wszakże, aby było wykonane na dobrym błyszczącym papierze i u dobrego fotografa.

I przyjedź koniecznie na zjazd — czekam!

„Rybaku z Helu“! Czemu milczysz tak uparcie, czyżbyś pogniewał się na mnie?

„Marysiu“ i „Zoniu“! Odwzajemniam Wasze serdeczne pozdrowienia.

ZGODZIŁAM SIĘ!

„Śmieszka Ślązaczka“. Zgodziłam się na zmianę Twego pseudonimu i odtąd będziesz otrzymywała wszystkie odpowiedzi pod powyższym.

Życzę Ci dużo przyjemności, pozdrawiam serdecznie i czekam na długi, długi list!

DZIĘKUJĘ!

„Łzikuska“: Dziękuję Ci, Dziecko, za miłe pozdrowienia, odwzajemniam równie serdecznie i przedrukowuję komunikaty:

„Wesoły Broneczku“ — dziękuję Panu za miłe słowa, wzamian przesyłam radosny uśmiech i pozdrowienia.

„Młody Orle“ — przesyłam Panu pozdrowienia od mej koleżanki „Kusicielki“ i ode mnie!

„Wędrowny Ptaku“ — zainteresowałam się Tobą? — Tymczasem pozdrawiam.

Dla „Krainiaków“ z Leszna i Poznania specjalne pozdrowienia z prośbą o liściki.

Dla reszty „Rodzinki“ miły uśmiech i słodkie pa!“

CO BĘDZIE?...

„Stefcia“: Moje ciekawe „Stworzonko“ zapewne już dowiedziało się wszystkiego o zjeździe z mego oficjalnego komunikatu. Czyż nie tak?

Oj, jeżeli już byłaś z siostrzyczką w Bydgoszczy i powróciłyście przed 11 września do domu, to co będzie z Waszym udziałem na zjeździe?... Tak przykro będzie mi, gdy Was zabraknie wśród mojej kochanej gromadki — zjazdowiczów. Koniecznie postarajcie się przyjechać — ja proszę!

Całuję Cię serdecznie i proszę o uściskanie „Luci“!

Komunikaty:

„Wytworny Włóczęgo“ — dlaczego zamilkłeś? Nie skrobniesz do mnie liściku? Czekam!

„Pell“ — dlaczego nie nadesłałeś listu na wyznaczony dzień? Jakiż to powód? Czy nie chcesz zawrzeć znajomości z Gr.? Pozdrawiam serdecznie — może zdecydujesz się na list.

„Młody Orzeł“. Dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je! Zazdroszczę lotu w obłokach. Dla całej „Krainy“ serdeczności!

PRZEŚLĘ CI DO PRZECZYTANIA

P. B. R. — Warszawa. Przyjmuję Pana do „Krainy“ z życzeniem, abyś znalazł w niej to, czego szukasz.

Adresu nie podaję, ponieważ nie czynię tego nigdy bez zgody „Krainiaków“. Możesz przecież napisać do pseudonimów, które najbardziej przemawiają Ci do przekonania i serca.

Ogłoszenie prześlę Ci wpierw do przeczytania i zaadresowania, a potem dopiero wyrukuję — zgoda?

„Krainiakom“ polecam Cię ze szczególną serdecznością, bo wiem, jak źle czujesz się w tym dużym, obecnie jeszcze na razie dla Ciebie mieście.

Może napiszesz do „Kaliny z Podlasia“ — ta pani jest ogromnie miła! Pozdrawiam Cię!

DZIEJE SIĘ TROCHĘ INACZEJ!

„Smutna i brzydka Irka“. Załatwiłam już konkretnie sprawę prenumeraty. Przesłano Ci numery za czerwiec, lipiec gratisowy, ponadto masz opłacony sierpień i cały wrzesień. — Zadowolona?

U nas dzieje się, jak zwykle, a właściwie, to trochę inaczej, bo w tej chwili wszyscy wybierają się na zjazd do Żnina. Ponieważ zjazd ów przypada na niedzielę, więc i Ty będziesz miała możność wzięcia w nim udziału. — Jak będzie?

Całuję Cię, Smyku Mały i czekam!

Przekreślonego komunikatu nie zamieszczam, bo zapewne udało Ci się jednak odcyfrować ów adres.

„Stenia Śliczniotka“. Dobrze mi „idzie“. — Pozdrów Marysię. Niedz i Hel. Dolatowsk.! mocno ściskam!!!

TO DOPROWADZI DO ZNIECHĘCENIA

„Taki — jeden“. Co Ty chcesz, Miły Chłopcze, wiesz Ty, a co ja chcę — wiem ja. W ten sposób oboje wiemy najlepiej, co wiemy.

Wiem, wiem, że od miłości się nie umiera i dlatego też tak optymistycznie biorę te uczucia, a właściwie leczę je u innych.

Poniekąd słuszne są poniższe Twoje słowa: „Obecnie daje się zauważyć jakiś szczególny szał w „Krainie“, wyrażający się w potoku wierszy, traktujących w kółko o miłości, łzach, losach i innych wzdychaniach!... To wreszcie doprowadzi do zniechęcenia — zdrowi na ciele i umyśle przestaną czytać te łzawe rymy.

Przecież życie nie zawsze pachnie różami, to się wie, ale żeby stale, bez pamięci zawodzić (?) To gorsze od dramatów, pokazywanych w kinie lub powieściach! Czy ta miłość lub te łzy muszą być tak jawnie i tak szeroko głoszone? Czyż takie jękliwe bunty — często bez prawdziwego uzasadnienia — można zwać wdziękiem duszy? Na pewno nie!

Wiem, że i teraz między szeregiem słabych są śliczne wiersze, wziąwszy choćby na przykład p. Baranowskiego, którego są zawsze b. ciekawe, treściwe i miłe. Również wiersze pp. Marii Zemmlerównej, Danuty W. i wielu były, nie bez miłości, bólów i smutków, ale równocześnie nie męczyły, nie strzępiły nerwów nieudatnym i nieambitnym biadoleniem — raczej olśniewały swą wysoką delikatnością, dodawały siły do znoszenia przykrych przeciwności — były rycerskie nawet w łzawym bólu, nawet w gorzkiej męce!

Takich wierszy twórzcie nam, mili poeci, jak najwięcej, a schylimy kornie głowę przed Waszym talentem i przed Waszą szczytną rolą siewców piękna, dobra, i tężyzny moralnej.

Tematów aż nadto znajdziecie przy troszce dobrej woli. Jak gładka powierzchnia ekranu dostarcza w piorunnym tempie moc wrażeń wzrokowych, tak życie w nieporównanie większej sile zasypuje nas bezlikiem tematów gotowych do zobrazowania w poetycznym rymie — trzeba tylko umieć patrzeć i chcieć patrzeć!!“

Nie rozgniewaj się, Miły Chłopcze, że przytaczając Twoje słowa, rozgrzałam się nieoczekiwanie i rozszerzyłam je nieco wtrąceniem własnych myśli — intencja była wspólna, a Twoja myśl poruszyła moją i wynikła z tego, powyższa reprymenda dla poetów, która oby zgodnie z naszą chęcią poruszyła ich do wzmożonej twórczości. Niech „Kraina“ przeżyje renesans swoich własnych poezyj!

A teraz powiem Ci, że zanotowałam sobie w pamięci Twoje życzenie, abym napisała „znow coś prozą“ i przy okazji postarałam się pójść po jego linii. Dlatego też ucieszyłam się, gdyś mi doniósł, że podobała Ci się moja nowela. Nie myśl, że Twoje uznanie nie jest mi zachętą do pracy, przeciwnie, mocno je sobie cenię — możesz mi wierzyć!

Ballada (Gerżabka?) o wesołym człowieku podobała mi się ogromnie — Ty masz specjalną inklinację do wynajdywania we wszystkim momentów najweselszych, co jest bardzo miłe! Czekam na nową porcję delikatnego humoru i przechodzę do komunikatów:

„Mogilnianko“! Ot, tak na pół serio i na pół żartem — byłoby naprawdę prawdą. Teraz sądzę, jest jedno i drugie wyjaśnione. Przeto na to konto przesyłam miłe pozdrowienia.

„Białą Uajali“ i „Zuch-dziewczynę“ serdecznie pozdrawiam! A „Zbereźnikowi“, to już posyłam chichoty!“

JAK DO DOBREGO ZNAJOMEGO!

„Szukający podchorąży“. Mam tu przed sobą wszystkie trzy listy Pana i uśmiecham się do nich, jak do niewidzialnej twarzy dobrego znajomego. Bo Pan jest już moim znajomym dzięki tym listom (i ten pierwszy uprzejmy i ten drugi naglący i wreszcie ten trzeci — najmilszy!) A za kilka dni dni zobaczę już Pana żywego i na pewno nie rozczaruję się do tego raznego żołnierzyka!

Do „Krainy“ jest Pan przyjęty niniejszym, a członkowie „Rodzinki“ poznają Cię już wcześniej, nim zdąży ta oficjalna prezentacja ukazać się w druku. Dlaczego wcześniej? No, bo będziesz przecież na zjeździe, który odbędzie się wpierw, nim ukaże się ten numer „Moich Powieści“. Czy jest to dla Ciebie zrozumiałe?

Skorzystałam z Twego pozwolenia i zamieszczam podobiznę pana rycerza.

No, Przyjacielu, niedługo już będziesz wiedział: „Ile przesadziła w samoopisaniu „Leśna Jagódka“; dlaczego „Bajka“ taka odważna, że aż nie ma obawy, aby Wirryt mógł się rozczarować; czy podzielasz moje zdanie o oczach „Lilusi“ itd. itd.!“ I — wierzę — podzielisz się ze mną wrażeniami, jakie odniosłeś na zjeździe.

Więc do zobaczenia!

„Halo! Najbardziej chciałbym, by wszystkie „Krainianki“ napisały do mnie. A to dlatego, by najszybciej stać się „starym“ w naszej najmilszej „Rodzince“. Szczególnie zainteresowała mnie „Leśna Jagódka“, która nie chce zaglądnąć na pocztę, by wziąć ode mnie list i „Rozkoszna Blondyneczka“, którą (cieszę się) zobaczę na zjeździe.

Która z Pań będzie w Warszawie? Proszę nie zapomnieć, że z radością służę sobą we wszystkim czego duszyczka zapragnie...

Dla tak oczekiwanych listów adres: Warszawa 1, Peste-restante „Szukający Podchorąży“.

POMYŚLNEGO WYNIKU!

„Firet“. Przyjmuję Pana do „Krainy“ i mam niepłonną nadzieję, że okażesz się jej godnym członkiem.

Prośbę Pana o pośrednictwo wzięłam sobie serio do serca i zareferowałam osobom kompetentnym, w wyniku czego zalecono mi podać Ci do wiadomości, że możesz złożyć formalne podanie do Zakładów A. Krzyckiego w Żninie. Do podania musi być dołączony Twój życiorys oraz wyczerpujące informacje, na jakim typie typografu składasz itp.

Numery życzone zleciłam przesłać wraz z dołączonym czekiem na należną kwotę.

Na zakończenie pozdrawiam Pana i życzę Mu pomyślnego wyniku w zabiegach o pracę!

WIERSZYK PONIŻEJ

„Ikar IV" zostaje przyjęty do naszego grona. Na razie musi mu wystarczyć to krótkie zawiadomienie i poniżej przedrukowany wierszyk, jedyny, który został sklasyfikowany do druku z liczby nadesłanych.

Życzę „Ikarowi" dalszych, już pomyślniejszych, wzlotów w przestworzach poezji i posyłam mu przyjazny uśmiech!

CZY TOBIE NIE ŻAL?

Czy tobie nie żal, luba dziewczyno!
Że ja odchodzę w nieznaną dal,
Że gorzką żółcią zaprawione wino,
Pić będę. Czy tobie nie żal?...

Odejdę za chwilę ku przeznaczeniu,
Skryję się cały w mgły sinej szal,
Nikt cię nie będzie wołał po imieniu,
Czy ci i tego nawet nie żal?...

Zostaniesz sama, sięgniesz po wino,
Zanurzysz usta w nim swe purpurowe,
Czy ci i tego nie żal, dziewczyno!
Że ich nie dotkną pocałunki nowe?

Ty nic nie mówisz — milczą twoje wargi,
Podobne teraz do chłodnych fal,
Czyż z nich nie wyjdzie ani słowo skargi,
Powiedz dziewczyno: Czy tobie nie żal???

„Ikar".

CIESZĘ SIĘ PIĘKNEM NATURY!

„Dziewczynka z zaklętego młyna". O, nie, Dziecko! Ja nie tylko ślęczę nad pracą — w chwilach wolnych od zajęć, spaceruję nad naszymi pięknymi jeziorami, urządzam dalekie wycieczki za miasto i cieszę się pięknem natury. A trzeba Ci wiedzieć, że umiem patrzeć na przyrodę i mam uwielbienie dla słońca!

Tak sobie myślę, że szybko powinien Brat Twój kupić już ten motocykl z przyczepką, abyście mogli wreszcie zrealizować przyjazd do Żnina. Porozmawiamy sobie wtedy uczciwie — prawda?

Ależ naturalnie, że ładny jest Twój pseudonim — romantyczny, a mimo to, niezbyt odbiegający od prawdy.

Wujek Janusz odpowie Ci, jak zwykle sumiennie i chętnie — tylko wyczekaj swojej kolejki!

Prenumeratę masz opłaconą do października włącznie. Fotografię Twoją zamieszczę w najbliższym numerze.

Bardzo będę Ci wdzięczna, gdy rzeczywiście zjednasz mi nowego prenumeratora!

Całuję Cię i przechodzę do komunikatów:

„Wesoły Banialuczku! Czekam na „fotki" z Torunia. Pseudonimu nie zmieniaj, bo pod takim Cię poznałem i pokochałem, więc veto! Ślę Ci, Najdroższa, serdeczne uściski i ucałowania. Dla Domeni także pozdrowienia!

„Banialuko"! A Ty przemiły „wicherku" nie piszesz? Gdy czytam Twoje listy, to szczerze się śmieję, morowe są! Buzi — Pa!

„Kazimierzu Junoszycu"! Jak mi miło, że należysz do naszej „Krainki"! Ślę Ci pozdrowienia, a także i od Alinki T. — przypominasz sobie ją?

„P. Skępska Rossoszyca" Tak blisko mieszkamy, musimy więc częściej z sobą pogwarzyć. Miło będzie — co? Bardzo serdecznie P. pozdrawiam! Pozdrawiam i p. Szyszkową"!

NIESTETY!

„Góralczka". Jesteś od dziś zaliczoną w poczet członków „Rodzinki" i wolno Ci tym samym przysłać swoją fotografię do zamieszczenia na łamach „Krainy".

Zadowolona jestem, że „Moje Powieści" trafiły aż do Twoich pięknych gór — nie znam tej miejscowości, ale już przez to samo ją lubię, że ma położenie górskie, a ja ogromnie kocham góry!

Naturalnie, że pozwalam spieszczać moje imię, jak Ci się tylko podoba!

Adresów, niestety, nie mogę Ci podać, bo zawsze sumiennie dochowuję tajemnicy prawdziwych nazwisk moich pseudonimów, ale radzę zwrócić się do omawianych o listy, a na pewno oni sami podadzą Ci Twoje adresy.

Życzę Ci powodzenia i oznajmiam „Krainiakom", że przesyłasz im śliczny uśmiech i życzysz pogody ducha!

CZEGO „KRAINIACY" CZYNIĆ NIE POWINNI

Ponieważ stały kontakt z Wami nasuwa mi moc najrozmaitszych refleksyj, w których nawiasem mówiąc jest i dużo przykrych, przeto postanowiłam podawać je Wam, Drodzy Moi, do wiadomości w krótkich, niemal telegraficznych słowach.

Chodzi mi tu nie o złośliwe wytykanie Waszych tych czy innych, błędów, a, oto, aby Wam zwrócić na nie uwagę i przez to samo dać możność uniknięcia ich na przyszłość.

Sądzę, że nie będziecie mieli specjalnie nic przeciwko temu, zwłaszcza, że nie będę podawała swych spostrzeżeń na przykładach, lecz tylko ogólnikowo, w formie odczuwanej.

Zresztą nie tylko z obserwacyj Was i Waszych poczynań będę pisała moje migawki, tematu dostarczy mi ogół ludzi, z którymi stykam się w życiu codziennym i w dniach specjalnych uroczystości, imprez, zjazdów itd.

Wiecie już, o co mi chodzi — prawda? Zatem ad rem!

Zofia.

...Panowie winni unikać używania kolorowego papieru listowego. A jeżeli specjalnie lubią kolorową papeterię, to niech pamiętają, że dopuszczalny jest tylko kolor biały, lekko kremowy, szary i brązowy.

...Panie nie mają zbyt pochopnie wysyłać nowopoznanym osobom swoich fotografij.

...Panowie i panie zapominać — o konieczności podawania w listach, pisanych do mnie, dat i pseudonimów.

Nowowstępujący o podawaniu oprócz pseudonimu dokładnego adresu.

PRZYJĘŁAM PANA

„Odys". „Przypadkiem zupełnie dostał mi się w ręce numer „Moich Powieści" i proszę sobie wyobrazić, byłem nim tak zachwycony, że stałym się od razu czytelnikiem stałym. Dużo czytałem i czytam pism, ale pismo redagowane przez Szan. Panią ma w sobie coś takiego, co chwyta człowieka za serce, bo dąży do zbliżenia się osób nieznanych. Szczególnie zaś zaciekawiła mnie „Kraina szczerości i naszych trosk".

W tej właśnie chwili czynię zadość memu postanowieniu, oddawna zrobionemu, by napisać do redakcji „Moich Powieści" i stać się członkiem Waszej Wielkiej Rodziny".

Co do mnie, to jestem średniego wzrostu, szatynem, 2 lata temu ukończyłem gimnazjum i obecnie studiuję prawo. Zaś co do usposobienia — to naogół jestem wesoły, trochę uczuciowy, i lubię towarzystwo. Specjalnie lubię sport i biorę udział czynny w licznych jego odmianach. Pragnąłbym chętnie nawiązać Korespondencję z „Krainiakami" — Na każdy list bezwzględnie odpowiem. Najlepiej pragnąłbym zapoznać się drogą korespondencji z Sympatykami, którzy możliwie będą dostosowane swym poziomem inteligentnym, wiek obojętny.

Listy proszę skierowywać do dnia 15. X. 1938 r. pod adresem: Bydgoszcz I., Poste Restante „Odys"."

JESTEŚMY...

„Stokrotka polna" i *„Biały Motylek"* zostały przyjęte do „Krainy" i proszone są o swobodne i serdeczne obcowanie z nami.

Szczegółowo nie będę Was opisywała, gdyż nie mam na tyle czasu. Ostatnio zgłoszenia do naszej „Rodzinki" wpływają w takiej ilości i tyle otrzymuję przynagleń o szybkie przyjęcie, że doprawdy nie mogę nadążyć z odpowiedziami.

Pozdrawiam Was mile i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Ja — „Stokrotka polna" — proszę napisać do mnie liścik — rewanż murowany.

„A tu „Biały Motylek"! Pozdrawiam „Czarnulkę z Grudziądza". Może Pani pierwsza do nas napisze — dobrze?

Całej „Krainie" zasyłamy moc serdeczności".

HALO!

„Kalina z Podlasia". „Halo! Tu „Kalina z Podlasia" — pragnę korespondować z miłymi i sympatycznymi „Krainiakami" — czy znajdzie się ktoś taki, który zwróci uwwagę na tę moją prośbę? Bardzo czekam i pozdrawiam serdecznie całą bez wyjątku „Rodzinkę"!"

OWSZEM!

„Farida". Niewymownie cieszy mnie, że czujesz się już w „Krainie", jak u siebie w domu! My też traktujemy Cię, jak najbliższą z bliskich.

Zbierasz, słyszę, skrzętnie roczniki „Moich Powieści", a może dałabyś je ładnie oprawić? Zapewniam Cię, że pięknie wyglądają w bibliotece takie duże księgi.

Wolisz zimę? Oj, Dziecino — ja znów boję się jej gorzej ognia! Dlatego też z rozpaczliwą pasją chwytam w siebie wszystkie cieplejsze promienie i rozkoszuję się nimi niczym jaki zatracony narkoman.

Owszem, miałam już wakacje i spędziłam je tym razem na północno-wschodzie Polski. Spędziłam dobrze!

Jeszcze miałam Cię o coś zapytać, aha! Jak się czuje ta chora Pani, której doglądałaś tak troskliwie? Ładnie to z Twej strony, Kochanie!

Pisz znowu dużo, a na razie przyjm moje serdeczności!

„Kraina" ma od Ciebie miłe pozdrowienia.

CIESZĘ SIĘ, ŻE PRZYJEŻDŻASZ!

„Wenus". Cieszę się ogromnie na Twój przyjazd do Żnina w dzień zjazdu! Jesteś wszak najstarszą „Krainianką", jeżeli chodzi o lata przynależenia naturalnie, a nie o Twój wiek!

Więc pamiętaj już nie zawieść mnie, nie rozczarować przez odwołanie w ostatniej chwili twego uczestnictwa, bo zmartwiłabym się okropnie!

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty:

„Sentymentalna Rusałko"! Dziękuję za złożone mi gratulacje — pięć lat, to kawał czasu! Naprawdę!

Cieszę się, że „Samotny Chorów I" został mianowany przewodniczącym zjazdu.

„Młody Orle" przyjmij sokole „Czołem!"

„Przybłęda leśny" — mam dużo własnych wierszyków, na razie ukrytych.

„Blady Kwiat" — uznanie za wierszyk „Smutek". Reszcie „Krainiaków" ukłony z uroczego Puszczykowa!

CHCIAŁABYM Z TOBĄ POMÓWIĆ!

„Nieszczęśliwa Niniusia". Dziecino, nie należy się tak egzaltować, ta sprawa, jeżeli ma się dobrze rozwiązać dla Ciebie, musi mieć dużo, dużo czasu na to! Nie należy zbytnio jej przyspieszać, bo gwałt w tym wypadku mógłby raczej zaszkodzić. Spokojnie, taktownie kieruj całą rzecz na swoją korzyść, ale nie wyznawaj sama uczucia, jakie Tobą włada — powiedz sobie, że cierpliwość niebiosa przebija i uśmiechnij się do życia, nie, jak do tego czasu, z przeczuciem cierpienia, lecz z pewnością w zwycięstwo. A ręczę, że ono rzeczywiście stanie się Twoim udziałem.

Nie chcę sprawiać Ci przykrości odmową w sprawie, o którą mnie zapytujesz, więc oznajmiam, że nie pogniewam się, bo i nawet nie miałabym prawa gniewać się na odruchy Twego dobrego serduszka.

Fotografia Twoja została już sprezentowana naszej „Rodzince" — czy ucieszyło Cię to? To dobrze!

A teraz ściskam Cię na „do widzenia" i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Halo! Śmieszko z Pomorza" — czy jesteś jeszcze w G.? Powiedz mi, czy Nuśka wyszła za mąż, jeśli tak, to życzę jej powodzenia!

P. J. Czarkowski z Chojnic — czy wie Pani o tym, że znam Ją, jak również brata Edka? Braciszka znam nawet osobiście. Proszę zgadnij, kim jestem — zgoda?"

REKLAMUJ NA POCZCIE

„Kalina"! Cieszę się, że zapominasz powoli o pesymizmach i czujesz się dobrze.

Sprawę administracyjną załatwiłam. Na przyszłość, gdy nie otrzymasz jakiegoś numerru, reklamuj od razu na poczcie.

Całuję Cię i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Halo! Halo! Tu mówi Kalina! „Czarodziejko i Biała Uajali" — napiszcie do mnie! Chcę od was zaczerpnąć nieco radości życia.

„Kazimierzu Junorzycu"! Ładne piszesz wiersze, bo pogodne. Czy mogę prosić o poświęcenie jakiegoś dla mnie?

„Fyt - ka" — jeśli lubisz poważną korespondencję — napisz do mnie.

Piszcie do mnie „Krainiacy" — oczekuję od Was dużo listów i odpowiedzi od niektórych!

PRELUDIUM WIECZORNE

Wieczorem — z pustych przedmieść
powraca mój zachód,
gdy słońce po gałęziach
mrocznych drzew się wspina
niebo gaśnie w ustronnej ciszy
mego serca,
i zmierzch —
zadumę smutku u okien rozpina. — —

Słyszę ostatni przelot słonecznych jaskółek.
Widzę: w oddali miasto —
zachodem skąpane
i tylko wiatr ostatnim
westchnieniem wieczoru
zasyła samotności —
powiew pożegnania.
Za progiem mojej duszy
słyszę jak wydzwania
świerszcz smutku...
— zwrotki wiersza
ciszą szeleszczące —
Błąka się nad poddaszem
spóźnionym przelotem —
jaskółka... zapatrzona
w bliski zachód słońca.

Wieczornieją me myśli
na stromym poddaszu,
w białym kwadracie tęsknot,
rozpiętych u okien —
Widzę: niebo się zwolna zanurza
w toń gwiezdną...
jak życie — nad mej duszy
wezbranym — potokiem.

Józef Baranowski.

NIEDOBRZE!...

„S. 13“. Cieszy mnie, że zwiedziłeś tyle miast południowej Polski i że dzięki temu rozszerzyłeś zakres znajomości ojczystego kraju. Jedynie co mi sprawia pewną przykrość, to to, że nie obiecujesz na mocno swego przyjazdu do Żnina. Niedobrze, że nawet najzagorzalszym prapagatorom zjazdu staje coś na przeszkodzie, gdy ich projekt staje już w stadium realizacji! Ale może jeszcze nie wszystko stracone, może jeszcze uda się Panu usunąć wszystkie trudności i przyjechać do Żnina. Jakże to dziwne, że w chwili, w której piszę te słowa, absolutnie nie wiem jeszcze, czy będziesz na naszym zjeździe, natomiast wówczas, gdy Pan je będziesz czytał, ja już będę wiedziała, kto był, a kto nie i będę już tylko żyła wspomnieniami chwil spędzonych w towarzystwie członków mojej ogromnej „Rodzinki“.

Jakby nie było, zapraszam dziś w myśli serdecznie Cię na zjazd i posyłam miły uśmiech! A teraz komunikat:

„Leno“ — dlaczego milczysz? — pisałem! „Humorystko“ — czy nie odebrałaś listu? Proszę „skrobnąć“ — czekam!

„Zazo“ — pytasz się, dlaczego nie piszę — to ja mógłbym, tak mówić. Masz adres.

„Zoniu“ — czy jesteś jeszcze u ciotki, czy już u siebie? Czy gniewamy się? Zapominasz o odpowiedzi?!“

Z WŁASNEGO IMPULSU DZIĘKUJĘ

P. L. M. — W. Cieszę się niewymownie z tego, że człowiek tak dobry i tak wzruszająco bezinteresowny, jak Pani, obiecuje od nowego roku wejść czynnie w szeregi Sympatyków „M. Powieści“. Poczytam to za jeden z większych sukcesów „Krainy“.

List Pani, słodki bezinteresowną miłością bliźniego, przesłałam na adres tego potrzebującego pomocy człowieka. Na tym miejscu z własnego serdecznego impulsu dziękuję Pani za dobroć i współczujące serce! I powtarzam, że za zaszczyt poczytam sobie wstąpienie Pani do „Krainy“!

Moc dobrych życzeń ślę do nieznanej, a już mi ogromnie drogiej Pani!

O BRATNIĄ DUSZĘ!

„Ira“. Przyjmuję Panią z przyjemnością do „Krainy“ i zamieszczam Jej apel:

„Pragnę poznać kogoś, co posiada dużo humoru i trochę czasu — taką bratnią duszyczkę. Kto napisze? Czekam!“

WZYWAM!...

„Armeńczyk“. Przyjmuję Pana do naszej „Rodzinki“ i zamieszczam jego apel:

Będąc od dłuższego czasu Czytelnikiem „Moich Pow.“, pragnę nawiązać kontakt z sympatyczną rzeszą „Krainiaków“. Jestem wysokim brunetem i mam wszechstronne zainteresowania, kocham przyrodę, poezję, wycieczki. Zbieram fotografie, znaczki — maluję. Znam obce języki. Jeżeli która z Pań skreśli do mnie kilka słów, napiszę Jej maleńki wierszyk, który Pani Red. wydrukuje, jeżeli będzie odpowiedni.

Wzywam do wyrażenia swych myśli i zapraszam do grona: Bogusię z „Nieznanego“, Mary Wyszyńską — obie z Poznania; dalej Jadzię Pilińską z Gniezna, Trudkę Walenciakównę z Mogilna, Miecię Niemczykównę z Chełmży, „Gabryśkę“ ze Środy, Halę Niemczykównę z Żydynia, Franka Kosińskiego z Brodowa, Hankę Oszymowską z Rawy, „Aneczkę“ z Wąsosza, Miecię Grössównę z Obornik, Bogusię Krotoszyńską z Gozdowa i z Inowrocławia, Kundzię Zielińską, Staśkę Bażankę i jej brata Witolda. Miłe pozdrowienia ślę: „Żymełce“, „Lajli“, „Rigoletto“, „Zadumanej Renacie“ i Stelli Marzyńskiej. Good bye!

WIERZĘ W REZULTAT

„Wańdzia z B.“ Gorąco zajęłam się Twą sprawą, Droga Dziewczynko, i mocno wierzę w jej rezultat. W nr. 18 „Mojej Przyjaciółki“ ukaże się odpowiednie ogłoszenie — jeżeli mam choć trochę szczęśliwą rękę, spełni się wreszcie Twoje uporczywe marzenie zdobycia odpowiadającej Ci pracy. Napiszesz mi później o wyniku — dobrze?

Westchnij też serdecznie do Najwyższego, bo Jego protekcja jest zawsze najskuteczniejsza, możesz mi wierzyć!

Ślę Ci uśmiech, pełen otuchy i sympatii!

W NR. 17 „MOJEJ PRZYJACIÓŁKI“

„Mała Konwalijka“. Pragnę jeszcze przed Twym wyjazdem na urlop odpowiedzieć w sprawie tego ogłoszenia. Otóż załatwiłam Ci wszystko, w myśl podanych mi wskazówek, w naszym Dziale ogłoszeń i dziwię się, że monitujesz tę sprawę. Ogłoszenie jest umieszczone w 17 nr. „Mojej Przyjaciółki“ na str. 479.

Życzę Ci przyjemnego spędzenia wakacyj w domu tak bardzo kochanej przez Ciebie Babuni! Wypocznij dobrze i wróć z zapasem nowych sił do pracy!



BLANCE — POŚWIĘCAM

„Blance“ — poświęcam.

Zagraj, cyganie,
piosenkę przepojoną łzami —
bo — cóż nam z życia zostanie?...
Przeszłość, olśniona wspomnieniami
pierwszego, najszczerszego kochania —
Zagraj cyganie!
Zagraj cyganie!
Niechaj tony twojej gitary
będą dziś smutku wyznaniem —
To nic, że północ biją zegary —
Cóż jutro nam zostanie?...
Zagraj cyganie!
Zagraj, cyganie,
o swoim życiu mi powiedz,
o tym, że serce twe drgało kochaniem —
Wszystko dziś tobie opowiem
w szczerym wyznaniu,
lecz zagraj piosenkę, cyganie!

Tadeusz Multański.

SZKODA!...

„Te — Em“. Cieszy mnie to, że zjawia się Pan znowu w Żninie. Przypuszczam, że uda nam się zamienić z sobą kilka miłych słów.

Wnioskując z nadesłanego stosu wierszy, posłużyło Panu ostatnio natchnienie. Szkoda tylko, że to natchnienie okazało się mało owocne. Bo... tylko trzy wiersze są dobre — „Koniec lata“, „Refleksje“ i „Zagraj cyganie“. Reszta powędrowała do kosza. Szkoda!...

Sprawa wysyłki „Moich Powieści“ — została załatwiona. Nad projektami Pana — pomyślimy! Łączę ciepły, przyjazny uścisk dłoni!

Komunikaty „Te — Ema“:

„Uśmiechniętej Szatyńce“, „Małej Konwalijce“ i wszystkim, którzy mi przesłali uznanie za wiersze — zasyłam serdeczne podziękowania.

Domysły „Barci“, co do mego nazwiska, nie są — niestety, słuszne. Nie nazywam się K...m (moje nazwisko pod wierszykami: „Jestem sam“, „Czy jest na świecie“ i in.) ślę pozdrowienia.

„Biała Uajali“ — pisała, że chciałaby korespondować z T. M..skim. To ja! Pytam jednak: czy warto?...

„Zbijobrukowi Poznańskiemu“ i „Banialuce“ pozdrowienia. A ze spotkania w Poznaniu cóż zostało? Pewno rozczarowanie?

„Rena z Kujaw“: z Poznania, to nie bardzo, bo od dwóch lat nie ma mnie tam, (owszem byłem!), ale pewne domysły Pani słuszne. Kto Pani? Z fotki okazało się, że niestety ja Pani nie znam! A może otrzymam obszerniejsze wyjaśnienie listowne. Adres: moje nazwisko i miejscowość — wystarczy! Pozdrawiam!“

JAKŻE BYĆ SUROWYM?!

„To — ja“. P. Józef B. — nie jest Wujkiem Januszem! Domysły Pani są zatem błędne!

„Sądź mnie surowo i nie obawiaj się dąsów z mej strony“ — pisze Pani. Hm... jakże być surowym, kiedy brak podstaw do tego! Nawet takiego życzenia nie można nieraz spełnić! Wiersze Pani są bowiem pełne sentymentu, miłych akcentów i polotu. Na początek zamieszczam jeden — „Tęsknota“ — i proszę o dalsze. Tymczasem serdecznie pozdrawiam!

TĘSKNOTA

Polami —
na których nie chwieje się już
kłośny łan,
płynie w ślad podciętych zbóż...
Pajęcze nici mota
i przeplata je łzami...
Drżv w tęsknocie pustych pól,
chowa się w bruzdach przyziemnych...
Podnosi ludzki ból
i roztapia go we łzach jesiennych —

„To — ja“.

NIE WYSTARCZY...

„Ho — ho“. Nie wystarczy w tym wypadku ani upór, ani nawet intensywny wysiłek, skoro brak talentu. Pisze Pan, że w głowie P. mieści się „tysiąc myśli, pomysłów, natchnień i fantazyj“... Możliwe! — dla tego zapewne nie starczy już miejsca na odrobinę t. zw. pospolicie „oleju“.

Proszę darować mi mój nieco ironiczny ton, ale odpłacam się nim tylko za żarty, jakie Pan sobie urządza z poezji, no i ze mnie!

WRZEŚNIOWY SMUTEK

Kiedy dzień mija i zmierzch spada,
A wiater huczy w gęstym lesie,
Tak coś po kątach cicho gada —
— zbliża się jesień...
Na polach leżą srebrne rosy
I pajęczyny płyną w dal,
Żadnym powietrze nie drga głosem,
A sercu smutno... a sercu żal...
Bo oto minął znowu rok prawie
I poszedł gdzieś w nieznaną dal,
A płynął we śnie i na jawie —
Na jednej z wartkich życia fal...
I chociaż lipy cicho szumią,
Że lato wróci — przyjdzie znów —
Mojego smutku nie przytłumią...
...Żal mi minionych snów...
Bo chociaż przyjdzie znowu rok,
W majowej słońca radości,
To będzie tylko nowy krok —
Krok nowy do Wieczności...

Halina Bartożanka.

KONSEKWENTNY WYSIŁEK — NA PEWNO SIĘ OPŁACI!

„En — Ka“. Wziąłem dużo rzeczy pod uwagę: że jest Pan dopiero początkującym poetą, że kieruje się taką szczerością w swoich utworach i posiada pewne zacięcie poetyckie, a jednak mimo to nie mogę nazwać wierszy Pana dobrymi. Upłynie jeszcze trochę czasu — tak mi się wydaje! — za nim je będę mógł w ten sposób określić. Narazie zachęcam Pana do dalszej pracy. Konsekwentny wysiłek — na pewno opłaci się! Łączę serdeczne pozdrowienia!

SMUTEK JESIENNY

Już wiotką brzezinę wiatr pochwycił w taniec,
deszcz na szybach dzwoni wieczorny różaniec,
dojrzały w purpurze jarzębiny kiście,
deszcz bije cichutko o zielone liście —
Pełne rosy, sztywne cienie na rabacie,
— deszczami brzemienna chmura tęsknie płacze.
Pełna dusza smutku, tęsknot niewyznanych,
przez deszczowe krople na oknie wygranych.
Deszczowymi łzami wypłakane smutki...
dzień się kończy. Szary jesiennie i krótki.
Brak mu chwil słonecznych i akcentów jasnych.
Jesienne w gazonie zakwitają astry...
— Dziwnie smutno szumi pieśń wiatru o liście.
W taki dzień daremnie czekam na Twe przyjście.

Danuta Albrycht.

Mówiąc szczerze, Kaja była wielkim laikiem w tych sprawach, dlatego dziwiła się prawie wszystkiemu, cokolwiek wykładał jej mister Lawnston. Później jednak doszła do wniosku, iż nie należy okazywać tak bardzo swojej nieświadomości w tych sprawach, alę trzymać się zasady: nil admirari — nie dziwić się niczemu.

I od tej pory, tak sobie postanowiwszy, pytała wprawdzie mister Charlesa o rozmaite sprawy, ale już nie robiła wielkich oczu, niczemu się nie dziwiła zbytnio, tylko w milczeniu wchłaniała informacje, postanawiając sobie skorzystać z nich przy najbliższej sposobności.

Dotąd Ameryki w ogóle nie znała, a jeśli słyszała o niej, to przeważnie ze strony bodajże najgorszej, bo od strony przestępczości amerykańskich gangsterów. Jak wszystko inne, cokolwiek działo się w Ameryce, tak i bandytyzm musiał tam być na miarę olbrzymią. Filmem w dotychczasowym swoim życiu interesowała się o tyle, o ile, i nawet nie przypuszczała nigdy, iż przyjdzie jej kiedykolwiek samej stanąć w blaskach jupiterów przed kamerą filmową.

Dopiero w rozmowach z mister Charlesem zaczynała odrobinkę pojmować życie amerykańskie, gdzie nie sami tylko gangsterzy i kidnapperzy działają, ale także ludzie nauki i pracy, których trudem zbudowane zostało to wszystko, czym się Yankesi tak zwykli wobec Europy przechwalać.

Na takich pogwarkach zbiegła im droga aż do Cherbourga, gdzie przesiedli na transoceanik, który w kilka dni później wysadził ich w Nowym Yorku. I tutaj dopiero Kaja z ogromnym zdumieniem zaczęła się rozglądać dokoła, tak ten nowy świat wydał jej się nowym, olbrzymim, wprost gigantycznym, pełnym wrzawy, pospiechu, bieganiny i krzyków ludzkich. I pewnie byłaby podziwiała długo i z wielkim zajęciem ten nowy świat, nowych ludzi, całe to olbrzymie miasto, pod względem ilości mieszkańców, równające się średniemu państwu europejskiemu, ale mister Lawnstown czuwał i nie dał jej długo marudzić. Zapakowawszy ją do samochodu, kazał jechać na dworzec kolejowy, skąd mieli wyruszyć w dalszą drogę, na drugą stronę Stanów Zjednoczonych, nad Pacyfik. I znowu Kaja została po prostu przytłoczona nowymi zjawiskami, które cisnęły jej się przez oczy do mózgu. Przez Pittsburgh, Chicago, Omaha, Salt Lake City poniósł ich ekspres do Los Angeles, pod niebieskie i wiecznie uśmiechnięte niebo słonecznej Kalifornii.

III.

W HOLLYWOOD

Kaja zbudziła się pod wpływem dziwnych odgłosów, jakie przez uchylone okno sączyły się do jej luksusowego mieszkania, które firma „Blackbee-Film" przygotowała dla niej. Otworzyła oczy, rozejrzała się ciekawie dokoła, a potem wyskoczyła naraz bosymi nogami na puszysty dywanik przy łóżku, przeciągnęła się i obrzuciła pokój uważnym i ciekawym spojrzeniem. Sypialnia urządzona była nie tylko wytwornie, ale z takim nawet przepychem, jakiego Kaja dotąd nigdy nie widziała, mimo, że i dom jej rodziców w Brukseli był urządzony bogato i wytwornie. Urządzenie obecne jednak różniło się pod każdym względem od urządzenia mieszkania jej rodziców.

Przede wszystkim widoczna tu była na każdym kroku prostota, połączona z wykwintem i wygodą. Nie było tu żadnego przedmiotu, który by nie miał swojego praktycznego zastosowania, nie było żadnej zbędnej rzeczy.

Kaja oglądnęła kolejno każdą rzecz, każdy drobiazg, a potem skoczyła do nieco uchylonego okna i pchnęła je, otwierając na ścieżaj. Przed oczami jej otworzyła się wspaniała panorama japońskiego miasta, pełnego świątyń i charakterystycznych budowli, jakby żywcem przeniesionego gdzieś spod Tonkinu na równinę Kalifornijską.

Weszła jakaś kobieta i pozdrowiwszy uprzejmie zapatrzoną na ten świat złudy, jaki roztaczał się przed nią, Kaję, zapytała, czy podać śniadanie.

Kaja odwróciła się z niechęcią prawie od okna.

— Śniadanie? Dobrze, może pani przynieść śniadanie — odrzekła. A gdy kobieta odeszła, odwróciła się znowu do okna i utopiła wzrok w przestrzeni.

Powietrze było tu idealnie czyste, przezroczyste i takie bardzo niebieskie, jak chyba nigdzie na świecie. W dali, na horyzoncie, gdzie niebo stykało się z ziemią, majaczyły sine szczyty górskie, z najwyższym z nich szczytem Whitney, które jakby odgradzały Wielką Kotlinę od nabrzeża na Pacyfiku. A bliżej, tuż prawie u stóp domu, w którym Kaja mieszkała, rozciągały się na ogromnej przestrzeni złociste pagody japońskie. Były tu skromne prymitywne ołtarze z kamieni, oparte o korzenie drzew, kazalnice w formie nisz skalnych, małe kapliczki o lakierowanych dachach. Smukłe i majestatyczne zarazem, dominowały wysokimi portykami i zębatymi dachami. Wielkie i małe pagody były tu barwnym haftem, wspaniałą oprawą tego sztucznego miasteczka. A pagody te zbudowane z taką wiernością, z zachowaniem tak pieczołowitym stylu i wierzeń religijnych, iż wydać się mogło, że to wszystko, co rozciąga się opodal, to nie sztuczność, to nie malowanki, ale wiernie oddanie tego, co na ziemi mikada zobaczyć można. Były tu więc diny, poświęcone bohaterowi lub geniuszowi protegującemu Szua, buddyjskie świątynie i pagody literackie, poświęconem Konfucjuszowi.

Zapatrzona na tę panoramę, Kaja ani się spostrzegła, gdy kobieta wjechała ze śniadaniem, oznajmiając się znaczącym chrząknięciem. Kaja wskoczyła znowu na łóżko i oddychając świeżym, wonnym powietrzem, zabrała się do śniadania.

— Madame — odezwała się kobieta — wanna przygotowana. Po śniadaniu pójdzie się pani wykąpać, potem zechce się ubrać i wtedy zjawi się tu pan Growe.

— Pan Growe? Któż to taki?

— Jest to „make up" wytwórni.

Kaja podniosła zdziwione brwi.

— Nic nie rozumiem. Czy to jaka bardzo ważna figura?

— Mister Growe jest głównym charakteryzatorem wytwórni „Blackbee-Film" i naprawdę figurą bardzo ważną.

— A cóż ten znowu chce ode mnie w tak rannej porze?

— Musi z panią porozmawiać, a przede wszystkim poznać ją. Jest to człowiek, który ma wielki głos tutaj.

Kaja pokręciła głową i przyjrzała się z uwagą pokojowej.

— Ha — westchnęła — może przyjść, skoro tak się już uparł, aby mi złożyć wizytę w tak rannych godzinach.

Nie była przywykła do tego w „starym kraju", aby ktokolwiek, zwłaszcza mężczyzna przychodzący do niej z pierwszą wizytą, zjawia się o takiej porze, ale trudno, widać tutaj takie zwyczaje. Nie była tego pewna, więc zapytała pokojowej.

— Moja droga pani, czy to tutaj taki zwyczaj, że wizyty składa się w godzinach tak rannych?

Ciąg dalszy w nast. numerze.

11)

ROBERT GOFFIN

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

Gdy cień wieczoru pada na wysokie wzgórza, Indianie usadowiwszy się pod ścianami swych domostw, opowiadają odwieczne legendy; języki się rozwiązują i mówią o „toloacha", tej słynnej truciźnie indyjskiej, sporządzonej z bieluniu, którą kacykowie niegdyś gubili swych wrogów i odpowiednim dozowaniem wywoływali większy lub mniejszy stopień obłędu.

Co robić, co robić? W cesarstwie meksykańskim dzieje się coraz gorzej. Wszystko jest skazane na zgubę, jakiś zły los prześladuje suwerenów. A jednak czegóż cesarz nie robi, aby zachować swą popularność. Oto niedawno udał się do Patchuca i aby się przypodobać ubogiej ludności okolicznej, wdział na siebie ubranie górnika i zeszedł z latarką do podziemi jak zwykły robotnik. Długo krążył w ciemnych korytarzach pośród obojętnych Indian, którzy bez względu na jego obecność nie przerywali pracy i przed odejściem chciał wręczyć górnikom tysiąc piastrów tytułem dodatkowej zapłaty, ci przecież odmówili przyjęcia z obawy przed Juarezem.

Juarez! Juarez! Gdzież jest ten niewidzialny bandyta, snujący się po Meksyku jak złowieszcze widmo; ten syn wyrobnika, który zdobył wykształcenie i tytuł adwokata, ten Indianin z bródką, który galwanizuje energię swych ziomków i zdołał unicestwić ekspedycję francuską. Żadnego spotkania, ani walki, lecz ustawiczna obecność, napady gerylasów, desperackie ataki, zagarnianie obszarów, okrutne wyroki śmierci.

Juarez! Juarez! Niewidzialny olbrzym, cień którego sieje postrach w całym państwie, szatańskie zło niszczące monarchię, epidemia szerząca się we wszystkich prowincjach, przed którą Bazaine zmuszony jest wciąż się cofać i wkrótce będzie już tylko mógł obsadzić swym wojskiem porty oraz drogę z Meksyku do Vera Cruz.

Nie można już dłużej czekać, cesarzowa postanawia wykorzystać ostatni atut w ręku. Trzeba ratować cesarstwo dla dziecięcia, które porusza się w jej łonie. Trzeba przekonać Napoleona III, Piusa IX, Franciszka Józefa, Leopolda II i Ludwika II, pozyskać ich dla idei państwa, ginącego z winy ich wszystkich.

Musi sama udać się do nich, by wywalczyć trwałość i potęgę swego cesarstwa; musi sama rzucić tym śmiesznym osobistościom w Europie słowa, którym nie sposób się oprzeć. Już potrafiła przekonać swego małżonka o tej konieczności. Jest pewna zwycięstwa, jest pewna iż uzyska dla swego ukochanego Maksymiliana pomoc niezbędną dla utrzymania władzy; jakaż będzie szczęśliwa, gdy mu oznajmi wtedy, że Bóg błogosławi ich poczynaniom, zsyłając im potomka dla utrwalenia dynastii i przejęcia dziedzictwa korony cesarstwa meksykańskiego.

Wszystko to jest okropne, lecz życie nie składa się przecież z samych radości. Siódmego czerwca 1866 roku, cesarzowa Karolina wkłada po raz ostatni swe wspaniałe szaty i udaje się do katedry, by wysłuchać uroczystego „Te Deum" z racji imienin Maksymiliana. Przeczucie nieszczęścia krąży nad zebranymi. Po nabożeństwie wszystkie damy dworu zbierają się w sali przyjęć i madame Pacheco, zbliżywszy się do cesarzowej ze łzami w oczach, prosi o pozwolenie ucałowania jej. Wzruszona cesarzowa przyciska ją serdecznie do piersi. Wszyscy płaczą, tylko Karolina pozostaje spokojna i żegna się ze swymi damami dworu, które opuszczają ją we łzach, pewne, iż widzą cesarzową po raz ostatni. Karolina, wyczerpana do ostatka, odchodzi do swego pokoju zupełnie złamana na duchu, wsparta na ramieniu księżniczki Iturbide.

Zwolna wszystko się rozpada. Cesarstwo wali się w gruzy. Karolina pojutrze opuszcza Meksyk, kraj swych marzeń.

Lipiec 1866 roku! Napoleon III kierował przygotowaniami do Wystawy z r. 1870. Hortensja Schneider czarowała swym śpiewem na scenie operetki Książę de Morny urządzał wspaniałe przyjęcia, a hrabina de Castiglione, piękna awanturnica włoska, przyjmowała wizyty cesarza Francji w swym ustronnym pałacyku z tajemnym wyjściem na ulicę de la Pompe. Cesarzowa Eugenia, spacerując samotnie w parku St. Cloud rozmyślała o lekkomyślności swego dostojnego małżonka.

Lipiec 1866 roku! Leopold II rozpatruje po raz pierwszy możliwości kolonizacyjne. Siedząc wieczorami w swym gabinecie w pałacu laekeneńskim, wodzi palcem po mapach, zatrzymując się już to w centrum Afryki, już to na wyspach Oceanu.

Lipiec 1866 roku! Bawaria przeżywa niesamowite emocje. Niedawno król Ludwik II przyjechał z rozwianym włosem do Bergu na lokomotywie. W galerii swych przodków w pałacu monachijskim zawiesił portret Wagnera i pędził samotne życie w ciszy Hohenschwangau, położonego wśród pięknych gór, gdzie towarzyszył mu jedynie Wagner. Wkrótce jednak wielki muzyk musiał opuścić Monachium. Zrozpaczony król zamieszkał na Wyspie Róż, okolonej wodami jeziora Starnberg, naprzeciw rezydencji Possenhoffen, gdzie pocieszał się z Hohenlohem i masztalerzem Völk, niezadługo przecież ogarnięty płomieniem swej dzikiej namiętności wyjechał do Szwajcarii na poszukiwanie boga muzyki.

Lipiec 1866! Pius IX ucieka się do Francji o opiekę i rekrutuje pontyfikalnych Żuawów, tworząc legion watykański. Niestety, Ojciec Święty nie ma czym opłacać swych najemników i nakazuje zbierać wśród wiernych daninę świętego Piotra. W tym czasie Garibaldi, uwięziony na wyspie Caprera, marzy o ucieczce i o zawładnięciu Państwem Watykańskim dla umocnienia potęgi Włoch.

Lipiec 1866! Wybuch wojny austriacko-niemieckiej, Bawaria po stronie Austrii przeciw Prusom. Franciszek Józef zaniepokojony coraz to gorszymi wiadomościami z pola walki. Cesarzowa Elżbieta od rana do wieczoru odwiedza szpitale. W jednym z nich umiera jakiś piękny Cygan o płomiennych oczach, nie chcąc się zgodzić na amputację prawej ręki. Wreszcie ulega namowom lekarzy, lecz tylko pod warunkiem, iż cesarzowa będzie przy nim w czasie operacji. Czuła, łagodna Sisi, cała drżąca, trzyma w swych dłoniach lewą rękę Cygana, podczas gdy prawą amputuje chirurg.

Biegną ponure dni. Austria przegrywa bitwę pod Königsgrätz i traci Wenecję. Benedek ponosi klęskę. Zbliża się hańba pod Sadową. Oto pierwsze ciosy karzącej dłoni.

Karolina nie wie jeszcze nic o tych wydarzeniach wstrząsających Europą. Wiadomości dojdą do Meksyku dopiero za kilka tygodni. Cesarzowa płacze samotnie w swym różowym pokoju. Nad szczytami gór zwisa ponuro zielone niebo. Z oddali dochodzą przejmujące krzyki zolipotów, walczących o żer. O szyby okien, jak złowrogi palec nieszczęścia, stukają skrzydła nietoperza. W ciszy wieczoru rozbrzmiewa nostalgiczny śpiew Indian. Karolinę przenika reszcz, gdy zadaje sobie pytanie czy ten trwożny refren Azteków nie stanie się wkrótce pieśnią wyzwolenia.

Dobranoc, Wasza Cesarska Mość! Nie, Karolina nie będzie spała. Trawiona gorączką, przeklina dynastie panujące w Europie i przepowiada proroczo wszystkie nieszczęścia, oczekujące tych, co ją zawiedli. Gorący cień pada na okna. Pod zamknięty-

mi oczami cesarzowej przesuwają się dręczące obrazy: karawany zdradzieckich cesarzy, niewiernych królów, kłamliwych arcyksiążąt, znienawidzonych marszałków; nagle wszystko się plącze, bezładnie miesza z yukatańskimi czarodziejami o wąskich oczach, z powstańcami Juareza na ochwaconych szkapach, z czarownikami, rzucającymi złe uroki, z tajemniczymi trucicielami. Ohydne, straszne koszmary! Dookoła brzęczą uprzykrzone moskity i biją o tiulową moskitierę. Cesarstwa! Cesarstwa dla ostatniego Habsburga, który wkrótce przyjdzie na świat!

Sen spada na umęczoną Karolinę obrazem okrutnej walki; ranni żołnierze rzężą pod oknami. Czy to widma przeszłości, polegli ochotnicy z legionu belgijskiego? A może to duchy strzelców spod Sadowej krążą nad Maksymilianem w tę noc pełną udręki i trwogi?

XIII.

Termin powrotu Karoliny z Europy otacza tajemnica. Po jej wyjeździe w dniu 9 czerwca, ostatni stronnicy Cesarstwa płaczą, przeczuwając początek końca.

Ileż okropnych wydarzeń przez ostatnie sześć miesięcy! Monterey i Matamoros dostały się w ręce powstańców i wkrótce obydwie prowincje północne są całkowicie pod władzą Juareza. Oddziały juaristów, prowadzone przez oficerów amerykańskich szybko doszły do granic stanów Durango, Coahuila i Nouveleon, po czym opuściły się wzdłuż wybrzeży atlantyckich aż do Tampico.

Ogromne państwo Maksymiliana skurczyło się już do obszaru położonego między San Luis a Vera Cruz!

Jeśli cesarzowa nie zdoła pozyskać europejskich władców, upadek jest nieunikniony. Pożegnanie Maksymiliana z Karoliną w Ayotla było tragiczne. Cesarz płakał jak dziecko, gładząc dłoń Karoliny. Oboje cierpieli straszliwie nad tą rozłąką i każde z nich przeczuwało, iż gorszy los wypadł temu, kto pozostaje w tej zdradliwej pułapce, pośród okrutnych wrogów, bez żadnej pomocy.

Podróż do Vera Cruz odbywa się niezmiernie uciążliwie. W pewnej chwili dyliżans przewraca się do rowu i przerażona Karolina truchleje w mniemaniu, iż spadło na nią groźne niebezpieczeństwo. Jadąc dalej, cesarzowa pogrążona w rozmyślaniach, wspomina wypowiedziane kiedyś przez nią słowa: „Przed utworzeniem cesarstwa działo się w Meksyku stokroć lepiej. Bazaine i biskupi przyczynili się do wszystkich nieszczęść, trzeba w porę powiesić kilku z nich". Oni przecież odegrali największą rolę w tym ogromie nieszczęść, buntów, zdrad, zbrodni i trucicielskich mordów!

A ta złośliwa gorączka, trawiąca Karolinę od czasu pobytu w Yukatanie, a te okrutne boleści, które cierpiał cesarz w Cuernavaca? Lepiej o tym nie mówić, ale przecież trzeba o tym myśleć, gdy serce trwoży się o los ukochanych. Trzeba uciec do Europy, by zapewnić bezpieczeństwo następcy tronu. Trzeba oznajmić Napoleonowi III, a nawet i Piusowi IX o tym doniosłym wydarzeniu dynastycznym, o którym Maksymilian jeszcze nic nie wie.

W Paso del Macho, oddział powstańców zatrzymuje powóz cesarzowej i uprowadza muły; wśród ulewnego deszczu Karolina musi iść pieszo. Czuje się okropnie przygnębiona i chora, lecz z myślą o swym dziecku kroczy naprzód blada i milcząca. Trzynastego czerwca wchodzi w Vera Cruz na pokład okrętu, zażądawszy uprzednio wciągnięcia na banderę francuskiego statku barw cesarstwa meksykańskiego, co wywołuje sprzeciw.

Podróż morzem ma trwać cztery tygodnie. Cesarzowa, wstrząśnięta przeżyciami ostatnich dni, zamyka się w swej kabinie i patrzy na skrawek błękitu, będący jeszcze niebem Meksyku. Legendarne cesarstwo zapada się zwolna w przeszłość, staje się już tylko wspomnieniem. Vera Cruz ginie w dali, znacząc się na horyzoncie mglistą białą kresą. Dookoła woda. Coraz więcej niebieskiej wody między Karoliną a jej niespełnionymi marzeniami. Oczy cesarzowej przesłania gęsta mgła, w której wszystko się zlewa, stapia w bezładną całość. Do drzwi kabiny ktoś puka. To młody francuski marynarz podaje nieśmiało bukiet kwiatów o wspaniałych koronach, z których wytryskują długie słupki, jak osypane złotym proszkiem języki; w ciągu kilku chwil kabina wypełnia się silnym zapachem. Karolina, przymknąwszy oczy, wciąga głęboko to wonne tchnienie i nagle pamięć jej poczyna gwałtownie pracować. Oto widzi siebie w chwili triumfalnego wjazdu do stolicy :w otwartych powozach piękne dziewczyny meksykańskie radośnie krzyczące, otyłe matrony o głębokim spojrzeniu, powiewające chusteczkami, żwawi jeźdźcy w białych rękawiczkach, tłumy Indian z palmowymi gałązkami w ręku, wydając ogłuszające okrzyki radości. Ona, Karolina obok Maksymiliana; i ciągle ten zapach, ten zapach! Raptem, jak czarodziejskie zjawisko, ukazuje się katedra Matki Boskiej z Gwadelupy, rozbrzmiewająca modlitwami bezpłodnych kobiet. I znowu karoca cesarska otoczona harcującymi jeźdźcami, Maksymilian uprzejmie dziękujący Bazaine'owi za ofiarowany cesarzowej bukiet... i nagle Karolina widzi ogromną wiązankę szkarłatnych, pachnących kwiatów. Teraz te dwa zapachy zlały się, złączyły w jeden nieznośny aromat wypełniający kabinę, aromat przypominający Bazaine'a, tego beztroskiego zdrajcę. Krew gwałtownie pulsuje w skroniach cesarzowej, dłonie jej stają się zimne jak lód, kiedy gniewnym ruchem otwiera okienko kabiny i wyrzuca przez nie do morza skromny bukiet francuskiego marynarza.

W czasie postoju okrętu w porcie Hawany, Karolina nie opuściła swej kabiny i przyjęła w niej, obojętna i senna, delegację miejscowych władz z opasłym arcybiskupem na czele.

Mijały dni i noce, przynoszące cesarzowej udrękę gorączkowych zwid i rojeń. W dniu 4 sierpnia okręt przybił do St. Nazaire. W porcie nikt nie oczekiwał cesarzowej oprócz mera miasta. Karolina kazała się zawieźć do Nantes. Monotonny krajobraz o piaszczystych wydmach i jednostajnych sosnowych lasach, napełnił ją przeraźliwym smutkiem. Pierwsze zetknięcie z Europą nie było radosne. W skromnym pokoiku hotelowym Karolina łkała przez całą noc.

A tymczasem karząca dłoń wypisywała w księdze przeznaczeń dalsze losy tych, którzy ją oszukali. Imperium Austriacko - Węgierskie zostało pobite przez Prusy... Bóg karał Franciszka Józefa...

W dniu piątego sierpnia Napoleon III. otrzymał telegram, zapowiadający wizytę cesarzowej Karoliny. Cesarz Francji przebywał w St. Cloud, chory i bezsilny, zabijający nudę w buduarach kokotek, wściekły na Eugenię za wciągnięcie go w tę okropną awanturę meksykańską. Nie chcąc widzieć się z Karoliną przesłał jej depeszę następującej treści: „Otrzymałem przed chwilą telegram Waszej Cesarskiej Mości. Czując się cierpiący po powrocie z Vichy i będąc zmuszony do pozostania w łóżku, nie mogłem wyjechać na Jej spotkanie. O ile, jak to przypuszczam, Wasza Cesarska Mość uda się teraz do Belgii, będę mógł przyjąć Ją po powrocie".

Lecz Karolina nie pragnie spotkania ze swym bratem Leopoldem II, którego wykreśliła już ze swej egzystencji. Postanawia nie stosować się do rozkazu Napoleona i przyjeżdża nazajutrz do Paryża, gdzie na dworcu St. Lazaire znów nikt jej nie oczekuje. Cesarzowa w bezsilnym gniewie zrozumiała, iż Napoleon ucieka się do niegodnych pretekstów, by oddalić chwilę niemiłej rozmowy.

Zraniona boleśnie w swej miłości własnej, Karolina udała się do Grand Hotelu, znajdując jakieś

gorzkie zadowolenie w tym upokorzeniu. Jedyną osłodą była myśl, iż podobna gburowatość okryje hańbą cesarza Francuzów. Późnym wieczorem zjawił się generał Waubert de Genlis, przynosząc usprawiedliwienie cesarza i zapytał niegrzecznie, ile czasu Karolina zamierza pozostać w Paryżu.

Lodowate milczenie było odpowiedzią na to niestosowne pytanie. Karolina usłyszała jeszcze jak przez mgłę, iż cesarzowa Eugenia złoży jej nazajutrz wizytę.

Któż zdoła opisać, co się działo tej nocy w duszy, opuszczonej przez wszystkich, cesarzowej? Historycy i komentatorowie opisują najdrobniejsze szczegóły tych chwil, ale nikt nie wie, ile cierpień kryło się pod pozornym spokojem nieszczęśliwej cesarzowej. Osaczona ze wszystkich stron, chłostana przez okrutny los, Karolina, ten anioł nieszczęścia, heroina udręki, zwiastun złowrogich wydarzeń, nie może już nigdzie znaleźć ratunku. Cesarzowa! I choć dusza jej będzie zwolna obumierała, choć opadać z niej będą wszystkie ludzkie przeżycia, choć zaginie w niej człowiek logicznie myślący, ironiczny tytuł cesarzowej pozostanie jej na zawsze.

Krąg nieszczęść zamknął się dookoła niej jak mury hotelowego pokoju, w którym na próżno szuka spoczynku. Chwilami chce uciec, chce opuścić Paryż, hotel, chce uciec od siebie samej. Niestety nie ma wyjścia, bezsilne ręce nadaremnie biją o głuche ściany. W łonie swym czuje ruchy dziecięcia, lecz już nie widzi dlań jasnej przyszłości. Juarez, Labastida, Bazaine, Napoleon, Franciszek Józef i inni, i inni! Wszyscy kaci się tu zebrali. Przed nią Meksyk okrutnie szarpany, z wielkimi piramidami bogów azteckich, które przertwały już niejedną klęskę. Za nią wszyscy wrogowie cesarstwa: ohydni Francuzi, utuczeni złotem Meksyku, ministrowie Napoleona, którzy złupili miliony, ograbiwszy trupa; bezwstydny Bazaine, kosztujący państwo półtora miliona rocznie.

Na lewo — to Yukatan ze swymi czarami i truciznami, które jeszcze śpiewają w żyłach cesarzowej, to indyjskie uroki, przed którymi trzeba strzec przyszłego dziedzica Habsburgów, to prześladująca ją i niosąca zgubę jej mężowi zemsta boga Quetzacoatla.

Na prawo — na prawo nie ma nic! Wszystko wiruje, kołysze się, to morska choroba, to vomito negro!

Trzeba wyłamać drzwi, wiodące do Napoleona. Karolina zażąda od niego rachunku. Powie papieżowi Piusowi IX wszystko, co jej leży na sercu. Postawi swe kategoryczne żądania, a może raczej stanie się łagodną, cichą, błagającą! Oni rozumieją, że cesarstwo nie może upaść, że Maksymilian i Karolina walczą nie dla siebie, lecz dla przyszłości, dla dziecka, które wkrótce przyjdzie na świat i w imię którego nie wolno ani rezygnować, ani abdykować. Przecież nie nadaremnie jest się potomkiem wielkiego Rudolfa Habsburga. Nie należy się do swego państwa, lecz przede wszystkim do swej dynastii. Maksymilian należy już do swego syna. Powinien stać się dla niego wzorem wielkości i samozaparcia. A reszta nie ma żadnego znaczenia!

Nieludzki dramat ludzkich namiętności; namiętności najwznioślejszych i najniższych, ścierających się jak dwie żywiołowe potęgi, uczynił Karolinę największą bohaterką wszystkich czasów, skupiającą w swym sercu wszystkie Eurydice, Ifigenie, Phedry, Dydony i Penelopy. Los nieszczęśliwej cesarzowej przechodzi swym tragizmem najśmielszą wyobraźnię poetów i romansopisarzy. Wobec jej dramatu bledną dramaty Sofoklesa i Eurypidesa. Istotny dramat bierze początek od historii Karoliny i wielkość jego przetrwa po dzień dzisiejszy, choć jakiś wstyd i szacunek wobec ogromu cierpienia okrył milczeniem i całunem zapomnienia to wielkie w swym nadludzkim bólu przeznaczenie. Niesprawiedliwa krzywda stała się pamięci Karoliny, przeciw której sprzysięgły się wszystkie potęgi zła, dążąc do jej zguby i zniszczenia!

Ciężko wlokły się godziny w Paryżu. Do Meksyku biegną telegramy. Wygnany Wiktor Hugo przeklina cesarstwo francuskie. Na Polach Elizejskich piękne kobiety rozsiewają beztroskie uśmiechy ze swych wytwornych powozów. Mówi się dużo o niejakim Renanie, który po zrzuceniu księżowskiej sukni napisał dzieło pod tytułem „Życie Jezusa". Książę de Gramont-Couderasse urządza olśniewające przepychem przyjęcia, gromadzące najwytworniejsze kobiety Francji. Ale cóż to wszystko może obchodzić smutną, rozgoryczoną Karolinę, myślącą jedynie o przyszłości Cesarstwa Meksykańskiego. Gdy piękna Eugenia zjawia się w towarzystwie trzech dam dworu w galowych toaletach, Karolina przyjmuje ją zimno, pogrążona w myślach o celu swej podróży, o realizacji podjętej przez siebie misji. Pragnie przede wszystkim uzyskać audiencję u Napoleona III i widząc, iż Eugenia waha się i daje niejasne odpowiedzi, oznajmia, że nazajutrz wtargnie choćby przemocą do pałacu cesarza. Eugenia wyznacza wówczas audiencję na trzynastego. Przesądne damy dworu usiłują zatrzymać Karolinę, lecz już żadna siła nie zdoła jej powstrzymać. Udaje się do St. Cloud w piękny, rozsłoneczniony dzień, lśniący bogactwem kwiatów i zieleni; cesarzowa nie widzi jednak otaczającego ją piękna, cała pochłonięta myślą o decydującej rozmowie, w której musi przezwyciężyć zły los.

Wiele już pisało się o szczegółach tego spotkania, lecz nikt nie zna istotnej prawdy i nikt nie będzie nigdy wiedział tego, co należało by wiedzieć. Audiencja odbyła się w jednej z sal parterowych; Napoleon III postarzały, jakiś dziwnie mały i skurczony, wystąpił w galowym mundurze meksykańskim z odznaczeniami Orła Meksyku i przyjął cesarzową w otoczeniu Fould'a, Randon'a, Prospera Merimée i Drouin de Lhuys, mniemając, iż obecność osób trzecich będzie krępowała Karolinę. Po dyskusji z ministrem finansów, mrożących inwektywach cesarza i uplanowanym omdleniu Eugenii, które w odpowiedniej chwili zakończyło audiencję, nastąpił żałosny powrót Karoliny wśród szpaleru ciekawych i oklaskujących ją tłumów. Powstrzymywane siłą woli łzy paliły oczy upokorzonej cesarzowej.

Druga audiencja została przemocą wywalczona w dniu 15 sierpnia. Karolina zjawia się znienacka z jedną damą dworu w St. Cloud. Przez dłuższą chwilę zatrzymują cesarzową w hallu, wreszcie Napoleon i Eugenia są zmuszeni przyjąć ją i wysłuchać. Dyskusja jest prowadzona w coraz ostrzejszym tonie. Zgnębiony Napoleon nie ma odwagi odpowiednio reagować. W pewnej chwili lokaj wnosi oranżadę. Karolina niezręcznie odmawia, traci wątek rozmowy, robi jakieś nieskoordynowane gesty; oczy jej patrzą gdzieś daleko poza cesarza, poza St. Cloud. Nagle ręce jej odpychają coś ze wstrętem. Rzuciwszy w twarz cesarzowi, iż jest szarlatanem, powiedziawszy mu prawdopodobnie o oczekiwanym dziecku, powraca wzburzona i wstrząśnięta do Grand Hotelu, gdzie oczekuje ją udręka wspomnień przeżytych dni.

Wszystko skończone. Nie można już oczekiwać żadnej pomocy ze strony Napoleona. Karolina drży z trwogi i podniecona gorączką płonie egzaltowaną miłością do swego męża Maksymiliana, ojca jej dziecka.

19 sierpnia Napoleon odwiedza cesarzową i plącząc się w wyjaśnieniach oświadcza, iż nie należy liczyć na poparcie Francji. Karolina owiana proroczym natchnieniem, woła z wyciągniętą pięścią do cesarza, iż klęska, którą spowodował nie przyniesie szczęścia ani jemu, ani jego synowi i Napoleon odchodzi przejęty jakimś tajemnym lękiem, z niejasnym przeczuciem bliskiego upadku swego cesarstwa i dynastii.

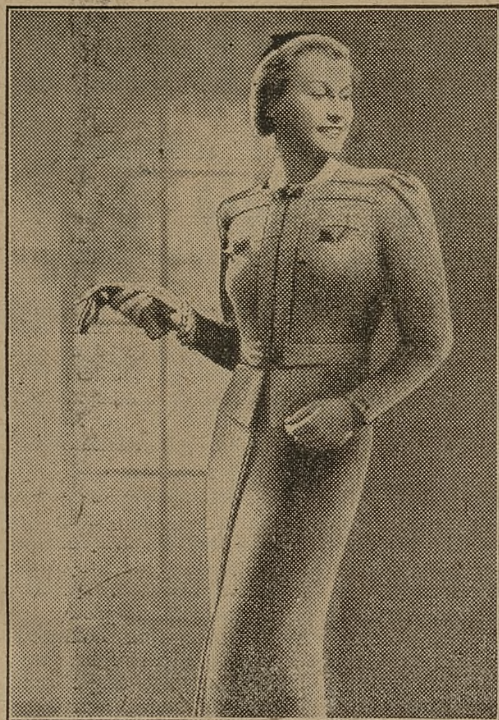
Ciąg dalszy w nast. numerze.

RAJ KOBIET

Szydełkiem i na drutach...

Jesień przystraja się zwolna w lekko rudą szatę pozłacanych liści krzewów i drzew.

A kwiaty jesienne, niektóre silne w barwie i w całej konstrukcji, jak np. dalie, inne znowu wątłe, słabe, zważone wczesnych chłodem i częstymi deszczami, jak astry — są pierwszym zwiastunem, największym, logicznym propagatorem mocnych, zdecydowanych kolorów w modzie. A także ciepłych okryć, o ile możności wełnianych, albo lepiej jeszcze — wykonanych szydełkiem lub na drutach.



Rzeczy szydełkowe są zawsze najcieplejsze, stosunkowo tanie (zwłaszcza, gdy się je tworzy własnym przemysłem) praktyczne i ładne.

W tym roku z wełny wykonuje się już nie tylko prześliczne modne bluzeczki na wszelkie okazje, jak sporty, przedpołudnie i popołudnie, dalej całe sukienki jednobarwne, czy też w dwukolorowe pasy, ale także kostiumiki o fasonie sportowym, bez kołnierzy i rewersów, zapinane okrągło pod szyją, a urozmaicone ładnym krojem obojczyka i rękawów bluzki.

Powyższy model przedstawia taki zgrabny kostiumik z ciemno-niebieskiej lub brązowej wełny. Ozdobą jego jest śliczny krój, dwie barwne chusteczki w krytych kieszonkach, dwa guziki, które spinają bluzkę pod szyją, i pasek z klamrą stanowiącą komplet z guzikami.

Komplecik ten zdaje się być wymarzonym do pracy w biurze.

Bo panie pamiętają naturalnie, że i do biura należy ubierać się wprawdzie w skromne, ale ładne i szykowne sukienki.

Wszak nigdzie tak bardzo nie uwydatnia się zamiłowanie do porządku, estetyki i niejaskrawej, lecz prawdziwej elegancji u kobiety, jak przy jej warsztacie pracy, który zmniejsza do minimum możność częstego zaglądania do lusterka w celu nerwowego poprawienia różnych drobnych niedokładności, co to, jak pod ręką nieznanego chochlika, wyrastają w trakcie największego zapracowania.

Ażeby uniknąć psot swawolnego chochlika, sprawiamy sobie taki skromny, a jednak piękny w swej wytwornej prostocie kostiumik i idziemy w nim do biura z miłym przeświadczeniem, że jesteśmy ubrane „comme il faut".

Takie przeświadczenie doda nam pewności siebie, zachęci do pracy, która pójdzie składnie, gładko, bez przeszkód, no i pozwoli nam na wdzięczny uśmiech, pozbawiony nagłego zażenowania, tego nieszczęsnego „załapania", które zawsze odbija się wtedy, gdy wchodzą interesanci, a my czujemy, że nasze akcesoria toaletowe na gwałt potrzebują poprawki. — Ach ten skrzywiony kołnierzyk, pomięty żabot, albo ta nieszczęsna, a zgoła zbędna w biurze falbanka, która właśnie w chwili porywania się w pospiechu od biurka „musiała" się oderwać...

Wszystkie znamy doskonale to uczucie, wszystkie się go boimy, a przecież ze zwykłą sobie lekkomyślną niedbałością zapominamy przy nowym kompletowaniu garderoby o tej ważnej jednej, czy dwóch sukienkach do pracy zawodowej!

Lecz teraz już nie zapomnimy — właśnie przygotowujemy sobie sukienki jesienne.

Dni są chłodne, zapłakane deszczem, niesłychanie przykre, ale jakby stworzone do przesiedzenia kilkunastu wieczorów z szydełkiem i wełną w ręku w naszym przytulnym — lub nie! — pokoju, tuż pod osłoniętą abażurem lampą i może w powodzi wspaniałych tonów, płynących z małej skrzyneczki naszego sławnego Telefunkena, czy innego Philipsa.

Więc najpierw zabieramy się do tego miłego kompleciku. Same po kilku dniach nie uwierzymy, że już jest skończony i że wypadł tak efektownie.



Zachęcone decydujemy się na wykonanie jeszcze ładniutkiej sportowej bluzeczki w barwne pasy. Będzie w sam raz do tej czarnej, czy popielatej wełnianej spódniczki, którą uszyłyśmy sobie z zeszłorocznej wizytowej sukienki w tej myśli, że będziemy mieć coś nowego do biura.

Koleżanki podziwiają tę bluzeczkę i po trochu zazdroszczą kostiumiku, który kosztował wprawdzie, trochę trudu i pieniędzy, ale zato jest elegancki i taki twarzowy!

Zatem trud nasz nie okazał się bezskuteczny, cieszymy się w sercu i jakby nigdy nic czynimy nowe pracowite projekty.

Wszak dobrze by było zrobić na drutach tę elegancką bluzkę w deseń do rdzawego, angielskiego kostiumu w kratę — ona jest taka wykwintna z tym kołnierzykiem stojącym pod szyją i deseniowym przodem, a my mamy już wprawę w tej pracy i polubiłyśmy ją, dzięki udanym poprzednim modelom.



A potem zrobimy sobie gruby, zimowy sweter, zapinany z przodu na guziki i przybrany dzianym szalikiem, zręcznie włożonym w dekolt.



Na zakończenie magiczne druty wykonają jeszcze tylko tę skromną granatową sukienkę, któ-



tą ożywimy białą koralową kamizelką z rzędem okrągłych guzików i podwójną kokardą, tudzież dla kompletu założymy szeroki, zamszowy pasek, w kolorze kamizelki.

I wreszcie powiemy sobie: dość! Chyba... chyba, że znowu skusi nas jakiś przepiękny włóczkowy komplecik, składający się z kolorowego szalika, czapeczki i rękawiczek.

Byłoby to świetnym uzupełnieniem tamtego grubego zimowego swetra, który później z powodzeniem mógłby służyć na łyżwy, narty i ślizgawkę.

Mirania Galińska.

DOBRA gospodyni

Kwasimy, solimy i zaprawiamy ogórki na zimę

Każda z nas myśli już o zapasie ogórków na zimę. Kwaszony ogórek jest przysmakiem staropolskim i rdzennie polskim, a zła o nim opinia Ślaza nie szkodzi mu ani trochę.

Korniszonek przyda się i do sosu i do sałaty i na kanapkę i do śledzika, a świeży ogórek możemy zjeść po prostu ze solą, z miodem duszony i faszerowany. Świeże ogórki surowe uchodzą za bardzo niestrawne, kwaszone jednak, dzięki obecności kwasu mlekowego, sprzyjającego trawieniu i w ogóle dobrej przemianie materii, cieszą się lepszą opinią, toteż o zapasie tanich i nietrudnych kiszonych ogórków warto by pomyśleć. Można je co prawda kupować całą zimę, ale domowe będą i tańsze i lepsze.

O gatunkach ogórków nie będę pisać, ponieważ trzeba być już bardzo biegłą, aby rozpoznać dokładnie gatunek przy kupnie na przykład z wózka. Możemy na pewno stwierdzić, że wszelki ogórek zalecony nam zostanie jako „przybyszewski", ponieważ właśnie ogórki przybyszewskie cieszą się najlepszą sławą. Kupując zatem na wózku, pytajmy skąpo, a patrzmy chciwie.

Jeżeli chodzi o mizerię, sprawa ta nie ma wielkiej wagi, jakkolwiek i sałata z ogórka o suchawym, pestkowatym wnętrzu jest mniej smaczna. Jeżeli chodzi o zakwaszenie kilkunastu sztuk, to nawet brzydszy, pośledniejszy ogórek może dać produkt zupełnie niezły. Jeśli jednak konserwujemy ogórki na zimę, każda wada może się stać przyczyną niepowodzenia.

Ogórki powinny być możliwie wszystkie równej wielkości, bo to ułatwia układanie, dalej — winny być wąskie, podłużne i zielone, to znaczy mało dojrzałe. O ile to możliwe, dobrze, aby przy ogórku znajdował się jeszcze kawałek ogonka, który zamyka owoc jakby na koreczek.

Ponieważ takie ogórki ciemnozielone bywają często gorzkie, należy z całej gromadki, którą nabyć zamierzamy, wybrać parę sztuk i skosztować. Jeżeli w tych kilku wybranych są gorzkie, cały transport jest trochę niepewny. W dotknięciu ogórek musi być gładki i twardy, próżnia wewnątrz lub nadwiędnięcie są dużymi wadami.

Specjaliści rozróżniają dwie formy otrzymania trwałych kwaszonych ogórków: solenie i kwaszenie. Dla przeciętnej gosposi różnice te mają małe znaczenie. Ogórki solone to takie, w których sól i pewne czasem dodatki stanowią element konserwujący, przy kiszeniu zaś element konserwujący — to kwas mlekowy. Powstaje on, gdy soli jest mało.

W ostatnich czasach czyta się dość dużo o wpływie księżyca na rośliny. Wpływ ten działa jakoby inaczej na zboża, inaczej na jarzyny, których korzenie używamy do jedzenia. Nie są to wszystko rzeczy nowe, pradziadowie nasi wchodzili w konszachty z miesiącem nie tylko w okresie siewu, ale przy strzyżeniu włosów i obcinaniu paznokci. Jak to tam jest z tym księżycem — trudno wiedzieć, istnieje jednak uprzedzenie, że ogórki, żeby nie miały środków po ukiszeniu, należy zrywać w kilka dni po nowiu, a przestać przed ostatnią kwadrą, to jest w okresie „przybywania" księżyca.

Po tej małej dygresji, wracam... do przepisów wypróbowanych na ogórki kiszone i solone.

Ogórki kwaszone. Ogórki, posortowane według wielkości starannie wymyć i układać, jak najściślej, dając pomiędzy warstwami cały koper, ząbki czosnku, liście bobkowe, chrzanowe, dębowe, wiśniowe — jakie się ma pod ręką, na wierzchu układając grubą warstwę tych dodatków. Tak ułożone ogórki zalać 3—5 procentowym roztworem soli i przygnieść ciężarem, aby były całkowicie zanurzone w płynie. Gdy gazy się już nie wydzielają, zamknąć szczelnie beczkę, zalać smołą, przechowywać w zimnym miejscu.

Ogórki solone. Ogórki, przeznaczone do kwaszenia, sparzyć ukropem, ułożyć następnie jak zwykle ściśle w beczki, zalać wodą nieco mniej słoną, dając mniej więcej na 10 litrów płynu 40 dkg soli, łyżeczkę od herbaty bez czubka kwasu cytrynowego i pół litra wódki. Potem postępować, jak podałam przy poprzednim przepisie.

Kapusta kwaśna z ogórkami. Obrane główki świeżej kapusty poprzekrawać na pół, ułożyć na deskach i wsadzić do gorącego pieca po chlebie. Gdy się upiecze, układać je warstwami w dębową beczułkę, posypując solą i gorczycą i przekładając ogórkami, wprzód ukwaszonymi. Mają one doskonały smak w kapuście. Używać ich można do sztuki mięsa. Kapusta wyborna jako jarzyna lub sałata.

Kiszenie ogórków na zimę. Zebrać ogórki w czasie pogody, wybierać zielone bez plam. Obcierać je na sucho (nie płukać, jeśli czyste), końców nie obcinać i układać w beczułkę dębową, najlepiej z dnem obustronnym, z czopem w górnym dnie. Beczułka winna być kilkakrotnie wyparzona. Wyścielić dno beczki dojrzałym koprem, liśćmi dębowymi, wiśniowymi, lub, kto ma — winogronowymi. Ogórki przekładać również koprem i liśćmi, a jeśli kto lubi — ząbkami czosnku i ostruganym chrzanem. Zalać ogórki wystudzoną, przegotowaną wodą z solą, biorąc 25 dkg soli na kopę ogórków i postawić beczułkę w piwnicy. Po paru dniach dolać do pełna przegotowanej, zimnej wody, gdyż część wody zwykle ubywa, zabić czop i zalać smołą.

Mizeria na zimę. Obrane ogórki kraje się w talarki i soli. Posolone winny leżeć 3 godziny. Wodę z ogórków, którą same z siebie puściły, zlewa się, mizerię wkłada się do worka i przyciska ciężarem, aby zbyteczna woda ściekła. Ocet winny zagotowuje się z liściem bobkowym i pieprzem, gdyby ogórki były za mało osolone, to się je soli i miesza z winnym octem i lekko upychając, nakłada do słoików, po czym zawiązuje się je pergaminowym papierem. Gdyby ocet wysechł, dolewa się przegotowanego, wystudzonego octu. Wydając do stołu, zaprawia się mizerię oliwą lub śmietaną i nieco pieprzy.

Ogórki na ostry kompot. Małe, zielone ogóreczki obrać ze skórki i posolić na 6 godzin, potem wodę odlać, obetrzeć serwetą i zalać gorącym octem. Po dwóch dniach ocet zlać, przegotować i znów gorącym zalać. Po upływie dwóch dni ocet znów zlać, zrobić syrop z $1/4$ l. świeżego octu i $1/2$ kg cukru, ułożyć ogórki w słój, przekładając goździkami, cynamonem i innymi korzeniami, nalać ciepłym syropem, a po wystudzeniu słój obwiązać.

Rady praktyczne

Dywany odzyskują świeżość, kiedy się je po wytrzepaniu i wyczyszczeniu zwilży wodą z dodatkiem amoniaku. Dobrze jest użyć do tego twardej szczotki, którą moczymy w wodzie z dodatkiem amoniaku.

— o —

Rękawiczki zamszowe najlepiej prać w letniej wodzie zwykłym mydłem. Do wody dodać trzeba kilka kropel czystej oliwy.

— o —

Pluszowe meble odświeża się doskonale przez oczyszczenie ich wodą, do której dolewa się trochę octu. Na trzy szklanki wody bierze się jedną szklankę octu.

— o —

Gdy drzwi skrzypią, wystarczy zasmarować zawiasy zwyczajnym, czarnym tartym ołówkiem. Grafit jest doskonałym środkiem do smarowania. Tak dobrym, jak oliwa.

— o —

Metalowe przedmioty są plagą naszych mieszkań. Trzeba je zawsze czyścić i zawsze są brudne. Ich blask i połysk nigdy nie zadowolą gospodyń. Dobrze jest posmarować te przedmioty bezbarwnym lakierem. Różne metalowe cacka będą po tym błyszczały jak słońce, nie trzeba ich będzie wiecznie trzeć, czyścić, pucować.

— o —

Świeże plamy po herbacie daje się doskonale wywabić kilkoma kroplami żółtka jajka. Żółtko zeprać należy później ciepłą wodą.

— o —

Woalowe firanki i suknie płócze się w kilku wodach. Do ostatniej należy dodać szczyptę cukru. Woal wychodzi potem jak nowy.

— o —

Stearynową plamę na politurowanych meblach łatwo można usunąć, pocierając ją wełnianą ściereczką, umaczaną w mieszaninie nafty i spirytusu.

— o —

Sznury do ciężkich obrazów możemy doskonale umocnić przez zanurzenie ich w gorącym oleju lnianym.

ŚWIAT i ŻYCIE

Przytomność umysłu ocaliła Włocha

Włoch Christian Terni, o którym dzienniki hinduskie pisały, że jest „największym i najfortunniejszym myśliwym na świecie", po powrocie do swego kraju opowiedział dziennikarzom o licznych przygodach ze swego barwnego życia. Terni urządził z górą czterdzieści wielkich wypraw myśliwskich, w czasie których zwiedził wszystkie części świata. Był w Australii, w Afryce, w Azji i w Ameryce Południowej. Na prawej ręce ma głęboką bliznę, i w związku z nią przytacza taki fragment swego życia:

W roku 1909 udałem się z Tanganiki do Eryterii. W okolicy jeziora Rudolfa urządziliśmy polowanie. Wtem przybiegł do mnie krajowiec, oświadczając, że odkrył legowisko lwiąt. Był pełen entuzjazmu, gdyż liczył na nagrodę.

Co się stało potem, dziś już dokładnie nie wiem, ale gdy wyciągnąłem rękę, aby schwycić za kark jedno ze lwiąt, nagle dłoń moja znalazła się w paszczy starej lwicy.

Bestia złapała mnie za przedramię zębami. Poczułem straszny ból, nie straciłem jednak przytomności umysłu. Wyciągnąłem szybko lewą ręką rewolwer z futerału i wsadziłem jej w łeb dwie kule. Ale lwica jeszcze nie puściła mi ręki. Dopiero dalsze dwa strzały położyły ją trupem. Rany leczyłem przez kilka miesięcy!

Kiedy indziej Terni udał się na polowanie na słonie do dżungli indyjskiej pod Maisurem. W czasie tej wyprawy zginęło pięciu krajowców, lecz z własnej winy. Dwu z nich rozszarpały tygrysy, gdy w nocy wymknęli się poza obóz, aby wypalić ukradkiem kilka fajek opium. Zwłoki ich były zniekształcone do niepoznania.

Pozostali trzej padli ofiarami słoni. Myśliwi właśnie przywiązali łańcuchami do drzew kilka słoniątek, gdy z puszczy wybiegło nagle całe stado wielkich słoni. Przerażeni krajowcy wleźli na drzewa, lecz w pospiechu wybrali drzewka młode, posiadające słabe pnie. Rozwścieczone słonie połamały je jak zapałki. Wszyscy trzej nieszczęśnicy spadli na ziemię, a rozgniewane zwierzęta rozdeptały ich na miazgę.

— Ruch w handlu grubym zwierzem w latach ostatnich bardzo osłabł, — żali się włoski myśliwy, aczkolwiek i on i jego syn stale otrzymują zamówienia z całego świata.

— Nikt nie chce kupować lwów, królów pustyni i puszczy. Nawet za najrzadsze i najpiękniejsze okazy nie można dostać właściwej sumy. Fakt ten doprowadza mnie po prostu do rozpaczy. Dobre interesy można dziś robić jedynie na sprzedaży niektórych gatunków gazel i małp. Małpy, pochodzące z Somali, znajdują bardzo wielu nabywców, toteż zamierzam udać się do tego kraju jak najrychlej. Właściwie mógłbym już iść na emeryturę, gdyż nie należę do najmłodszych, lecz gdy kto przyzwyczai się do życia, pełnego niebezpieczeństw i przygód, nie może się z nim rozstać...

Kiedy był potop

Ostatnio odkryte wykopaliska w miejscu, gdzie znajdowało się miasto Ur w dawnej Chaldei wykazały, że przed 5600 laty obszar Mezopotanii, zamknięty biegiem rzek — Eufratu i Tygrysu zalany był przez fale potopu. W ten sposób nauka zdobyła dowód potwierdzający opis potopu, zawarty w pierwszej księdze Mojżesza i opierający się na starych podaniach chaldejskich. Komisja archeologiczna prowadząca prace wykopaliskowe w tej części dzisiejszego Iraku znalazła pod warstwą w której znajdowały się groby królewskie złoża gliny oraz tabliczki z pismem klinowym, pochodzące z 37 wieku przed Chrystusem. Dzięki dokonanemu niedawno przez komisję odkryciu alfabetu, według którego pisane były tabliczki chaldejskie, zdołano odcyfrować ich treść. Przed uczonymi odsłonił się przejmujący obraz odległych tych dni, kiedy „otworzyły się upusty niebieskie i padał deszcz przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy". Grzebiąc dalej w pokładach gliny naniesionych przez fale potopu komisja archeologiczna pod przewodnictwem profesora Leonarda Wolleys'a odkryła liczne obrobione głazy i pięknie malowane naczynia gliniane i kamienne, które wskazują na wysoką kulturę ludu osiadłego na przestrzeni, którą później zalały wody potopu.



Zgon Józefa Mickiewicza

W Paryżu zmarł Józef Mickiewicz, ostatni z synów wieszcza Adama Mickiewicza, w wieku 88 lat. Zmarły był przez długie lata urzędnikiem francuskim i żył ze skromnej emerytury rządu polskiego. Pogrzeb śp. Józefa Mickiewicza odbył się na cmentarzu w Ivry pod Paryżem w obecności przedstawicieli Polonii paryskiej. Nieobecnego w Paryżu ambasadora R. P. reprezentował sekretarz ambasady Wierusz Kowalski, który złożył wieniec na grobie zmarłego.

Polak pionierem lotnictwa

W przytułku dla starców w Woodville, nie daleko Pittsburga zmarł starzec, Polak z pochodzenia, Jan Kowalski, który wynalazł miał aeroplan zanim jeszcze wynalazku swego dokonał Wright. Pierwszy samolot wypróbował polski emigrant w Bronots Island w Pittsburgu. Niestety z fatalnym rezultatem, maszyna bowiem runęła do rzeki Ohio, rozbijając się o przęsła mostu. W ulepszenie wynalazku włożył Kowalski wszystkie swoje oszczędności, a wreszcie wyśmiany i opuszczony spędził resztę życia w domu ubogich.

ADAM CZEKALSKI.

Powrotne szczęście

NOWELA

Pary wirowały dokoła niego, a on stał wciśnięty w kąt sali, niewidziany przez nikogo, zapomniany przez wszystkich.

I naraz w pewnej chwili zobaczył Krysię.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zobaczył ją razem z innymi mężczyznami. Promieniała. Była radosna i zarumieniona, prawie tak czerwona jak piwonia.

Florian ze swego kąta widział, jak wyróżniała się spośród innych.

Stał i myślał o tym, że ona była niegdyś jego.

Szyję miała obnażoną. Kiedy obok niego w tańcu przepływała, mógł widzieć jej ponętny karczek. Grzebień o czterech drogich kamieniach spinał jej włosy, krótko obcięte loki burzyły się dokoła niego. Pary kołysały się i wirowały, znikały i zbliżały się.

Patrzył na nią, wspartą na ramieniu obcego mężczyzny i chwilami doznawał wyraźnego uczucia zazdrości. Nie mógł znieść spokojnie tego widoku. Szatan zazdrości stanął za nim i przed oczami rozsnuwał obrazy piekielne, które szarpały niby szponami jego trzewia.

I rozkołysał się w nim ból, ból z dawnych bardzo dawnych dni!...

Patrząc, widział, jak siała koło siebie deszcz uśmiechów. Do niego nie uśmiechała się wcale. Widział, jak jej ręka leżała ufnie na ramieniu tancerza. Dopiero po długiej, długiej chwili zwróciła na niego oczy, jak te, które widział dawno temu, pełne łagodnej radości. Lecz nie było w nich nic, co by wznawiało jego imię.

Odwrócił się i wyszedł. Nic nie widział nic nie słyszał więcej. Po co tu właśnie przyszedł? Tu nie było dla niego miejsca.

W ogrodzie niebo było głębokie. Kilka brylantów migotało w górze.

Był jeńcem. Nie był samym sobą. Co to było, co to było jednak, co miało nad nim moc?... Jeszcze brzęczało w nim imię, jeszcze miał przed oczymi twarz. Jaką jest twarz dziecka, kiedy śni, podczas gdy uśmiech zamrze na jego wargach, taką była jej twarz, jeśli była wesoła i jeśli radowała się. On był teraz tylko tym, który chmurzył jej lica. Chciał zapomnieć o niej.

Usiadł na ławce schowanej w krzakach do połowy odartych z liści. Wiatr szeleścił chwilami w gałązkach, to cichł zupełnie. Wtem rozległy się kroki w dali — lekkie, niespokojne kroki, kilka razy zatrzymały się. Florian czuł, jak czyjaś głowa przeglądała przez liście i śledziła. Kroki skradały się dalej, coraz szybciej. Wreszcie były już bardzo blisko, słyszał już szelest jedwabiu. To ona była. Florian wyczuł ją, choć nie mógł widzieć. Usiadła naprzeciw niego. Nic nie mówiła. Czego chciała? Dlaczego przyszła i zabierała mu spokój? Wzburzenie targało Florianem. A mimo to słyszał, jak sam wymówił jej imię.

— Krystynko...

— Krystynko, dlaczego przyszłaś?

— Uczułam się nagle tak samotną. Byłam wesołą, tańczyłam i śmiałam się, i wszyscy się śmiali. Naraz tak dziwnie zrobiło mi się w piersi. Uczułam, że wszystko toczy się i kręci, wszystko przewala się bez miary i bez celu; wszystkie twarze wydawały mi się zniszczone, a każde słowo krzykiem i przekleństwem. Muzyka zaczęła mi grać w uchu: „Kiedyś raz wreszcie umrzesz, kiedyś raz wreszcie umrzesz, kiedyś raz wreszcie umrzesz..." Przestałam tańczyć. Lecz w sali było mi tak nieswojo. Wszyscy przechodzili koło mnie obcy. Czułam, że nie było tam nikogo, z kim bym pragnęła mówić. Wtedy powzięłam szaloną chęć zatańczyć się na śmierć, tańczyć, aż wszystko we mnie popęka, aż stracę wszystkie wspomnienia.

Krystyna patrzyła we Floriana wielkimi, ciemnymi oczyma.

Była jak dziecko trwożliwe. Drżała i przylgnęła do niego, a jego wargi dotknęły jej ust. Ale jej pocałunek był zimny, jak pocałunek mroków.

Dlaczego usiadła przy nim pod nieskończonym niebem i dotknęła go swoimi włosami? Dlaczego do czujności pobudziła to, co pozostawało w nim ukryte i co uważał za umarłe?... Jakże teraz ma zapomnieć?...

Po chwili znowu zaczęła mówić z tchnieniem zapartym, nie patrząc na niego.

— Florku, przebacz... nie mogę dłużej, nie mogę... Tak wiele myślałam o nas od czasu, gdym od ciebie odeszła. Zdawało mi się, że już wieczność minęła od tych dni dawnych. Wtedy wszystko było inaczej. A teraz wszystko się zmieniło. Minione dni nie wracają nigdy, nigdy, prawda?... Byłam taka wesoła, tak kochałam wszystkich, cieszyłam się z świateł i ludzi, z pięknych szat, — dziś niczego nie kocham, i nie cieszę się z niczego — uciekam do swego mieszkania, płaczę, zamykam na klucz drzwi, cisza — ściągam zasłony, patrzę sama w siebie, widzę — coś się stało ze mną, coś... Nie, Florku, nie mam siły powiedzieć... Gdy ty wymówiłeś moje imię, niebo wydało mi się tak wysokie — miałam wrażenie, jakbym nigdy przedtem nie wiedziała, jak bardzo małą jestem. Wszystko wydało mi się takie wielkie. Było coś, czego nie znałam, było coś strasznego — czułam, że to przychodzi — przychodzi...

— Chciałam uciekać — chciałam uciekać, wszędzie ono było: zarośla topiły we mnie swój wzrok, nie wiedziałam, dokąd mam iść, nie miałam nikogo na świecie, do kogo mogłabym iść — nikogo na świecie!...

— I wtedy — i wtedy...

Silnie otoczyła ramieniem jego szyję, nie patrząc nań... Prawda płonęła jej na wargach. Księżyc był między dwiema topolami. Jak uśmiech śpiącej kobiety leżał jego blask na ziemi.

Od tego dnia minęło pięć miesięcy. Pierwsze białe anemony już zakwitły.

Krystyna znowu była Florianową. Jego była całą zimę — przez wiele wiele dni. Była jego wieczorami, kiedy ciemnobłękitne niebo zbliżało się do dwóch małych istot ludzkich, które tam stały i spoglądały na widnokrąg, — rankami, kiedy słońce czerwone wschodziło i mgłę zmieniało w pył diamentowy, była jego w nocę, kiedy ich szum wiatru do snu kołysał...

Chwila zastanowienia

KONIKÓWKA

ułożył Witold Mataczyński, Łysinin.

Mło	ty	ku	wa	jest
u	cios	dość	dłu	wa
tiwa	wy	pły	rzeź	sa
ko	choć	jej	ży	ta
eo	no	ea	ma	biar
ty	szpar	ką	wiecz	wot

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

WIRÓWKA

1 2 3

4 5 6

7 8 9

Znaleźć 9 wyrazów 4 literowych o znaczeniu: 1. zwierzę 2. uczeń 3. tarcza Zensa 4. zasłona 5. wynik skutek 6. dawna danina polska w ziarnie 7. środek przewozowy 8. przyprawa 9. poeta opisowy.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 23 września br.

Rozwiązanie zadań z nr. 36 „Moich Pow.",

I. Łamigłówka magiczna:

Schody magiczne. Lis. Ira. Sarna. Ner. Arena. Nil. Alina. Nos. Asy.

Kwadr. mag. 1. Las. Ala. Sad.

Kwadr. mag. 2. Luba. Uroku. Bona. Jaka (wspak).

Kwadr. mag. 3. Era. Rak. Akt.

Kwadr. mag. 4. Sew. Eli. Wir.

Kwadr. mag. 5. Kosa. Opal. Sara (wspak).

Kwadr. mag. 6. Gaj. Aga. Jad.

II. Nowe zadania rozrywkowe:

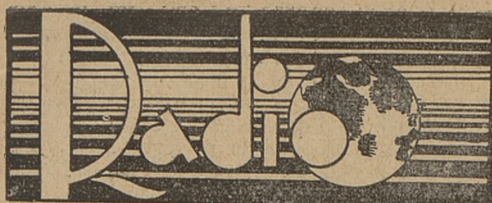
a) „Dobre rady pani Zofii"

b) „Teczka Wujka Janusza"

c) „Chwila zastanowienia".

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Jankowski Henryk — Łódź, Klimczak Maria — Zakopane, Duszyński Zygmunt — Inowrocław, Heliński Mirosław — Grudziądz.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Klimczak z Zakopanego i Helińskiemu z Grudziądza.



Niedziela, dnia 18 września 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Tarnowa 12.03 Poranek symfoniczny 13.00 „Dwie miłości Władysława Syrokomli" — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa 14.45 Transmisja z dożynek i przekazanie sprzętu wojskowego pułkowi Ziemi Tarnowskiej (przez Kraków) 15.10 Audycja dla wsi 15.50 Transmisja z Kamienicy meczu piłkarskiego „Polska—Niemcy" 16.40 Pieśni Ravela 17.10 Muzyka 17.30 Tygodnik dźwiękowy 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie — transmisja z Siedlec 20.05 Dyryguje Piero Coppola 21.00 „Warto żyć" — wesoła audycja 22.00 „Od przedmieścia do przedmieścia" — audycja słowno-muzyczna Krzemińskiego.

Poniedziałek, dnia 19 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.20 Duety operowe w wykonaniu artystów teatru „La Scala" 12.03 Audycja południowa 15.15 Audycja dla dzieci 16.00 koncert rozrywkowy 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital fortepianowy Jana Ekiera 18.50 Audycja konkursowa Polskiego Radia 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Wtorek, dnia 20 września 1938 r.

11.15 Symfoniczna twórczość Bizeta 12.03 Audycja południowa 15.15 Audycja dla dzieci 16.00 „Od Tatr do stratosfery" — Jodko Narkiewicz 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital fortepianowy Olgi Martusiewicz 19.00 Utwory skrzypcowe w wykonaniu Antoniego Szafranka 19.30 „Gdybym był młodszy dziewczyno" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „W stulecie saksofonu" — reportaż muzyczny 22.00 Pieśni Jana Brahmsa i Józefa Marxa.

Środa, dnia 21 września 1938 r.

11.25 Muzyka baletowa (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.15 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.00 Koncert rozrywkowy 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera 19.00 Recital śpiewaczy Michała Zebeydy-Sumickiego 19.30 Jesień za pasem — koncert rozrywkowy 21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Margerity Trombini-Kazuro, transmitowany do Niemiec 22.00 Koncert kameralny w wykonaniu kwartatu P. R.

Czwartek, dnia 22 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych 11.25 Muzyka (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.15 Mali radiosłuchacze pracują społecznie — audycja dla dzieci 16.05 Muzyka (płyty) 15.15 Audycja dla liceów: „Co to jest statystyka?" — odczyt 16.45 Z międzynarodowych organizacji kobiecych 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital skrzypcowy Marii Szrajberówny 18.30 „Znakomitość z Zachodu" — skecz 19.00 Piosenki i tańce białych i czarnych — w U. S. A. na dwa fortepiany w wykonaniu Aleksandra Brachockiego i Karola Trombika 20.30 Audycja dla wsi 21.52 „Arlezjanka" — opera w 3-ch aktach F. Cilea (transmisja ze studia w Turynie), dyr. Umberato Berretoni.

Piątek, dnia 23 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Aleksander Głazunów (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.15 „Gdzie byłem latem i co widziałem" — pogadanka 16.00 Koncert rozrywkowy 16.40 Pogadanka konkursowa Polskiego Radia 17.00 Muzyka taneczna 18.10 S. Taniejew: Trio D-dur op. 22 19.00 Pieśni i arie w wyk. Ludmiły Szretterówny 19.30 „Wesoła Warszawka" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 22.00 Koncert symfoniczny Orkiestry P. R.

Sobota, dnia 24 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Współcześni pianiści 15.15 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Twoi koledzy z całej Polski" 16.00 Koncert rozrywkowy 16.45 Groteskowe obyczaje — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Dawna muzyka — koncert 19.00 5 pieśni Joachima Raffa do słów Emanuela Geibla w wykonaniu Tatiany Noleir-Mazurkiewiczowej 19.30 Koncert rozrywkowy w wyk. Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego, oraz Chór P. R. 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi. 21.10 Dalszy ciąg koncertu rozrywkowego 22.00 Godzina niespodzianek.



PO CO MU LICZNIK?

Policjant (do szofera):

— Dlaczego nie posiada pan wskaźnika szybkości?

Szofer (starego samochodu): — Wcale go nie potrzebuję. Przy 20-tu kilometrach na godzinę moje błotniki zaczynają hałasować, przy 30-tu klm. słyszę wyraźnie szczęk i klekot latarni, przy 40-tu cały mój wóz trzęsie się i podryga, a gdy jadę z szybkością 50 klm. — moje własne zęby dzwonią... Pocóż mi więc licznik?!...

GDYBY...

Popularny komik monachijski Weiss Fredi został skazany na 6 tygodni więzienia za to, że pozwolił sobie wygłosić ze scenki jednego z kabaretów poniższe zdanie o sytuacji w Niemczech:

— Dawniej było nam dobrze, teraz jest nam lepiej, a byłoby jeszcze lepiej, gdyby było nam dobrze.

WAŻNA SPRAWA

Do komisariatu policji wpada zdyszany jegomość.

— Panie przodowniku, czy macie jeszcze tego złodzieja, który włamał si wczoraj do mego mieszkania?

— Owszem, siedzi w areszcie. A o co panu chodzi?

— To bardzo poważna sprawa. Chcę się spytać tego draba, w jaki sposób mógł on wejść do mieszkania, nie budząc mojej żony. Mnie się to jeszcze nigdy nie udało!

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE

Pewna młoda adeptka sceny o miernych zdolnościach, ale za to dobrych „plecach" — zdawała egzamin.

— No i cóż zdała pani? — zapytuje ktoś ze znajomych.

— Naturalnie!... Komisja była świetnie przygotowana.

KTO KIM DLA KOGO?

Mayerowie spędzali wieczór w domu. Ona czyta książkę, on gazetę. Sennie charczy aparat radiowy. Mayerowa otwiera szeroko usta i zaczyna zie-e-e-e-wać...

— Dlaczego ziewasz?! — pyta zdenerwowany mąż.

— Bo się nudzę... — odpowiada żona.

— Ja też siedzę w domu i nie nudzę się wcale!

— Bo ty jesteś ze mną, a ja... jestem z tobą...

LOGICZNA

Pewna starsza dama kupuje domek na granicy Kanady i USA.

— Czy ten dom stoi właściwie w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie? — zapytuje przed ostatecznym załatwieniem transakcji.

— W Stanach Zjednoczonych.

— To dobrze, wobec tego kupię go. Słyszałam bowiem, że zima w Kanadzie jest bardzo surowa.

DZIECI

Dwóch chłopców bawi się. W czasie zabawy pyta jeden: „Ile masz lat?"

— Pięć, a ty?

— Ja mam siedem. Wynoś się, z dziećmi się nie bawię.

U NOWOBOGACKICH

— Moje dziecko, wczoraj na premierze „Hamleta" popełniłaś nietakt! Wołałaś „autor, autor!"...

— Jakto?

— Czy nie wiesz, że Słowacki już dawno umarł?!

PRZYJAŹŃ

— Straciwszy moją żonę, straciłem też najlepszego przyjaciela!

— Wierzę panu!

— Tak... — uciekli razem!

W SKŁADZIE APTECZNYM

— Ma pan co przeciw siwym włosom?

— Nic, proszę pana, prócz najgłębszego szacunku.

PORADA LEKARSKA

— Co mam robić, panie doktorze, by mój mąż nie mówił w nocy przez sen?

— Dopuścić go w ciągu dnia do słowa.

TRUDNE ZLECENIE

— Czy tu u panów jest biuro tłumaczeń?

— Tak jest. Czym możemy panu dobrodziejowi służyć?

— Prosiłbym o wytłumaczenie mojej żonie że przy obecnym zastoju, trudno myśleć o nowym kapeluszu.

CZCZY TYTUŁ

— Tatusiu, co to jest czczy tytuł? — pyta się pewnego razu mały Jaś.

— Czczy tytuł, moje dziecko to jest, gdy np., mamusia nazywa mnie przed gośćmi panem domu.

ZACNA CÓRECZKA

— Gdyby chciał cię pocałować, zawołaj mnie.

— No, niech i tak będzie. Niech i mamusia skorzysta.

WYROK MLECZNY

Mały Karolek przybiega zmartwiony do ojca: — Tatusiu, tatusiu! Mysz wpadła do garnka z mlekiem.

— No, i co zrobiłeś? Wyciągnąłeś ją?

— Nie, ale za karę wrzuciłem do mleka kota.

WAŻNE PYTANIE

Pan Brudacki wraca z kąpieli i opowiada żonie swe wrażenia:

— Byłem wczoraj w łaźni i przy tej sposobności ważyłem się.

— Brutto, czy netto?

— Jakto rozumiesz?

— No, czy po umyciu, czy przed?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.